Stron 8

BIBLIOTEKA WYŻSZEJ SZKOŁY EKONOMICZNEJ W GDAŃSKU

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

DZIŚ W NUMERZE:

J. WIERNICKA — Jasność ze Wschodu. K. JÓŹWIAK — Fragment życia człowieka. B. WAJDOWSKI — Światła na trasie. J. BYRON — Brawo lordowie. L. HERDEGEN — Poeta rewolucyjnego romantyzmu. H. KATZ — Na szlaku zdrady. ILJA ERENBURG — Pakt pokoju. H. BEREZA — Prawda o ludziach. T. CHRÓŚCIELEWSKI — Trybun ludu niemieckiego. G. TIMOFIEJEW — Czytelnicy radzieccy o poezji. J. KUŻAJ — Chwaliszewiacy.

Rok VII

Warszawa, dn. 16. IX. 1951 r.

Nr 37 (319)

STANISŁAW CIEŚLAK

OD KAPITALIZMU DO SOCJALIZMU

Jeśli porównamy dane statystyczne, charakteryzując stan rolnictwa polskiego w latach 1909 — 1913 i w latach np. 1934 — 1938 to zauważymy szczególne i niesłychanie wymowne zjawisko.

Przeciętne plony w q z ha.

Lata	Pszenica	Żyto	Ziemniaki	Buraki cukrowe
1909 — 1913	12,4	11,2	103,0	145,0
1934 — 1938	11,2	10,9	113,7	209,0

W latach 1909 — 1938 ludność w Polsce **wzrosła** o ok. 6 milionów osób, (a więc o k. 20 proc.) **i w tym samym czasie** plony z ha podstawowych roślin uprawnych (pszenica, żyto, buraki cukrowe) zmalały, a jeśli innych roślin nawet i wzrosły, to w stosunku daleko odbiegającym (ziemniaki o 10 proc., jęczmień o 2 proc.) od tempa przyrostu ludności naszego kraju. Podobne zjawisko stwierdzić możemy i na odcinku przemysłu.

Produkcja przemysłowa w milionach ton.

Rok	Węgiel	Stal	Ropa naftowa
1913	41,0	1,7	1,1
1937	36,0	1,5	0,5

Przyczyny tego spadku produkcji są jasne. Gdy kapitalizm w drugiej połowie wieku XIX ostatecznie zwyciężył na ziemiach polskich był już kapitalizmem schyłkowym w swej ostatniej fazie rozwoju. Nie potrafił więc ani usunąć wszystkich przeżytków ustroju feudalnego, ani zapewnić na dłuższą metę warunków niezbędnych dla rozwoju sił wytwórczych kraju.

Wskutek działania prawa nierównomiernego rozwoju kapitalizmu i podporządkowania życia gospodarczego Polski interesom międzynarodowego kapitału — Polska staczała się stopniowo po równi pochyłej do poziomu kraju półkolonialnego, eksploatowanego przez międzynarodowy kapitał, rynku zbytu dla towarów zagranicznych, dostawcy surowców i tanich rąk do pracy.

Cóż z tego, że w Polsce w latach 1909—1938 przybyło ok. 6 mil. ludzi, zdolnych do pracy i wytwarzania dóbr materialnych, jeśli warunki społeczno - ustrojowe panujące w Polsce przedwrześniowej nie dawały im możliwości produktywnej pracy, bo już i tak corocznie ok. 300 tys. bezrobotnych robotników w miastach na próżno szukało pracy, a na wsi brak było produktywnego zatrudnienia dla prawie 8 milionów „zbędnej" ludności wiejskiej.

Cóż bowiem z tego, że szybko rosnąca ludność Polski potrzebowała coraz więcej chleba, mięsa, ubrań, mieszkań, artykułów przemysłowych itp. jeśli wskutek zacofanych, kapitalistycznych stosunków produkcji panujących przed wojną w Polsce, zarówno narzędzia pracy, jak i inne środki produkcji (przy pomocy których robotnicy i chłopi wytwarzali dobra materialne) były coraz bardziej przestarzałe i małowydajne, jeśli kapitalistyczny system pracy i płacy hamował twórczą inicjatywę mas pracujących, obniżał wydajność pracy, nie sprzyjał podnoszeniu kwalifikacji zawodowych, utrudniał zdobycie lepszej wprawy w wykonywaniu pracy i większego doświadczenia produkcyjnego.

To zjawisko hamowania rozwoju sił wytwórczych widać bardzo wyraźnie i w dziedzinie rolnictwa w okresie międzywojennym w Polsce.

Wg spisu z roku 1931 było w Polsce z ogólnej liczby gospodarstw ok. 25 proc. gospodarstw karłowatych (do 2 ha), ok. 39 proc. gospodarstw małorolnych (od 2 do 5 ha), ok. 25 proc. gospodarstw średniorolnych (od 5 — 10 ha) a 11 proc. obszarniczych folwarków i kapitalistycznych gospodarstw kułackich.

W latach 1931 — 1938 nastąpiła z jednej strony dalsza koncentracja ziemi w rękach zwłaszcza kułactwa (w roku 1938 gospodarstwa kapitalistyczne stanowią już ok. 13,2 ogólnej liczby gospodarstw), z drugiej zaś strony dalsza proletaryzacja pracującego chłopstwa (w roku 1938 było już w ogólnej liczbie gospodarstw ok. 36 proc. gospodarstw karłowatych, ok. 32 proc. gospodarstw małorolnych, a tylko ok. 18,6 proc. gospodarstw średniorolnych).

Oficjalne dane przedwojenne nie oddają ściśle charakteru klasowego poszczególnych typów gospodarstw, nie sama bowiem wielkość gospodarstwa, ale i inne czynniki (jakość gleby, wyposażenie w środki produkcji, stałe korzystanie z siły najemnej itp) decydują o tym. Ekonomista radziecki Goldstein analizując strukturę agrarną gospodarstw chłopskich w latach 1921—1927 w Polsce zaliczał 67 proc. gospodarstw chłopskich do grupy półproletariackiej, 24 proc. do grupy średnich gospodarstw, 8 proc. do grupy z elementami kapitału lub kapitalistycznych.

Niedostateczne wykorzystanie ziemi (pozostałości trójpolówki, dawnego, średniowiecznego sposobu uprawy, przy której 1/3 ziemi co roku ugorowała, mały procent ozimin, niestosowanie poplonów i międzyplonów itp.) brak siły pociągowej, niedostatek obornika i nawozów sztucznych, brak ziarna selekcyjnego i sadzeniaków, ostry deficyt pasz, brak maszyn i bardziej wydajnych narzędzi rolniczych, opłakany stan budynków produkcyjnych — charakteryzował poziom sił wytwórczych w drobnych, a także w znacznej części i średnich gospodarstwach chłopskich w latach przedwojennych.

Gospodarstwa te reprezentujące ok. 87 proc. ogólnej liczby gospodarstw posiadały zaledwie 50 proc. użytków rolnych, ok. 33 proc. ogólnej liczby koni, nie więcej niż 40 proc. krów, i około 70 proc. ogólnego pogłowia trzody chlewnej.

Zaopatrzenie zaś drobnych i średnich gospodarstw chłopskich w maszyny i narzędzia rolnicze charakteryzuje wymownie ankieta przeprowadzona w r. 1934 w 53 wsiach położonych na terenie wszystkich województw*).

Wykazała ona, że na 100 gospodarstw chłopskich do 2 ha było przeciętnie: 13 wozów, 11 pługów i bron zwykłych, 1 brona sprężynowa, 0,2 młocarń, 5 kieratów, ani jednego siewnika, żniwiarki czy snopowiązałki.

Na 100 zaś gospodarstwach chłopskich od 2 — 5 ha było przeciętnie: 63 wozy, 58 pługów, 0,3 siewników, 4 młocarnie, 6 kieratów i ani jednej żniwiarki czy snopowiązałki.

Na przeszło 3 miliony gospodarstw chłopskich sprzedawano w latach 1930 — 1936 przeciętnie rocznie: 310 siewników do zbóż, 31 siewników do nawozów sztucznych, 1600 parników, 3600 młocarń i kilkadziesiąt żniwiarek!

Na 26 mil. ha użytków rolnych zużywano przed wojną zaledwie 540 tys. ton nawozów sztucznych, przy czym większość tych nawozów stosowały folwarki obszarnicze i gospodarstwa kułackie.

W latach 1927 — 1938 przeciętna wysokość kredytów (z których również korzystali przede wszystkim kułacy i obszarnicy) udzielanych co roku rolnikom przez Państwowy Bank Rolny wynosiła zaledwie ok. 60 mil. zł.

O niskim stanie wiedzy rolniczej wymownie świadczy fakt, że szkół rolniczych niższych tzw. ludowych było zaledwie 169 z 6700 uczniami, 17 średnich szkół i kursów rolniczych posiadało 1800 uczniów i wypuszczały rocznie ok. 300 absolwentów.

W warunkach chronicznego kryzysu rolnego ogromna większość gospodarstw chłopskich w Polsce mogła utrzymać się na powierzchni jedynie obniżając do minimum swe potrzeby, bez możliwości akumulowania środków w celu powiększenia potencjału produkcyjnego swych gospodarstw.

Wygórowana cena ziemi (dzięki czemu warstwa obszarnicza wypompowała z warstwy chłopskiej proc. rocznie ok. 150 mil. zł), obciążenia z tytułu długów prywatnych i podatków (koszta obsługi długów wynosiły ok. 35 do 65 proc. kosztów produkcji drobnych i średnich gospodarstw chłopskich), nożyce cen przemysłowych i rolnych rozwarte na niekorzyść rolnictwa, kosztowny a prymitywny kapitalistyczny aparat wymiany między wsią i miastem wyzyskujący chłopa i przy sprzedaży artykułów przemysłowych i przy skupie płodów rolnych, spłaty rodzinne (do których zmuszał podział gospodarstw w warunkach braku odpływu do zajęć pozarolniczych), ciężary odrobku (za wypożyczone u kułaka ziarno siewne, wydzierżawioną ziemię, użyczony sprzężaj itp.) — a więc najrozmaitsze formy wyzysku pracującej części wsi przez kartele krajowe i zagraniczne, kapitał finansowy, obszarników i kułactwo **ograbiały większość drobnych i średnich gospodarstw chłopskich z możliwości inwestycyjnych i tamowały rozwój sił produkcyjnych w drobnotowarowej gospodarce chłopskiej.**

Z tej nędzy mało i średniorolnych chłopów, z malejącej z roku na rok zdolności produkcyjnej drobnych i średnich gospodarstw i ich dochodowością korzystał obszarnik, bo przez to mógł liczyć na tanie ręce do pracy na folwarku, ciągnęli z tej nędzy korzyści również i kułacy.

Ograniczony rynek zbytu wewnątrz kraju na płody rolne, nieopłacalność (wskutek wysokich kosztów produkcji rolnej, wywołanej zacofaniem gospodarki rolnej) eksportu rolniczego, a przede wszystkim taniość rąk do pracy na wsi (kapitalista bowiem stosuje maszyny i modernizuje narzędzia produkcyjne tylko wtedy, gdy cena ich jest niższa od wartości zastąpionej pracy ręcznej) odstręczała kapitalistów i kułaków od inwestycji Istniejące możliwości inwestycyjne ograniczała także typowa dla ginącej klasy wygórowana konsumcja i rozrzutność**). Dlatego też i gospodarstwa folwarczne jak również gospodarstwa bogaczy wiejskich, nie były (jakby się można było wobec ich dochodów spodziewać) wzorem nowoczesnej gospodarki rolnej, troskliwie zabiegającej o stały wzrost poziomu sił wytwórczych i potencjału produkcyjnego.

Czyż w takich warunkach ustrojowych mogła się rozwijać i rozrastać produkcja rolna? Rzecz jasna, że nie.

Ale taki stan rzeczy kryjąc w sobie zarzewie ostrego konfliktu pomiędzy siłami produkcyjnymi, a hamującymi ich rozwój kapitalistycznymi stosunkami produkcji stwarzał ekonomiczne podłoże dla rewolucji socjalnej, której zadanie polegało na tym, aby zburzyć stare stosunki produkcji, stworzyć nowe, odpowiadające charakterowi sił wytwórczych, które są przecież najbardziej rewolucyjnym i dynamicznym czynnikiem produkcji i nie dadzą się zbyt długo zatrzymać w swym rozwoju.

Według spisu inwentarza z r. 1927:

ok 184 tysiące gospodarstw chłopskich nie posiadało wcale inwentarza żywego
ok 1600 „ „ „ „ „ koni
ok 900 „ „ „ „ „ krów
ok 950 „ „ „ „ „ trzody chlewnej

podczas gdy:
ok 100 tys. gospodarstw kułackich posiadało po 3 i więcej koni
ok 160 „ „ „ „ po 4 i więcej krów.

PROFIL PRODUKCYJNY PRZEDWOJENNEGO ROLNICTWA

Dla jasnego uwypuklenia przeciwstawnego kierunku rozwoju przedwojennego, a obecnego rolnictwa warto zanalizować jego przedwojenny i obecny **profil produkcyjny.**

Chodzi tu o stosunek wartości produkcji roślinnej do zwierzęcej w całokształcie produkcji rolnej oraz o ustalenie ciężaru gatunkowego poszczególnych upraw i kierunków hodowli w każdym z tych dwóch zasadniczych działów produkcji rolnej.

Cechą charakterystyczną postępowego, intensywnie prowadzonego gospodarstwa rolnego w czasach nowożytnych jest stale rosnący ciężar gatunkowy hodowli w całokształcie produkcji rolnej.

I pod tym względem rolnictwo polskie nie wykazywało żadnej dynamiki rozwojowej. W roku np. 1834 wartość produkcji zwierzęcej (wg obliczeń Szczepanowskiego) w Polsce wynosiła ok. 42 proc wartości całej produkcji rolnej, w r. 1911 wg obliczeń Koszutskiego) — 41 proc., w r. 1937 tylko 40 proc.

W miarę bowiem jak kurczył się rynek wewnętrzny, jak zmniejszały się możliwości opłacalnego eksportu, jak olbrzymia większość mało i średniorolnych chłopów zmuszona była przez panujące stosunki społeczne do prowadzenia gospodarki samozaopatrzeniowej — maleć musiał i udział hodowli w całokształcie produkcji rolnej. Jednym z najpoważniejszych czynników hamujących rozwój produkcji zwierzęcej był jakże katastrofalny brak kapitałów obrotowych i inwestycyjnych w drobnych i średnich gospodarstwach chłopskich, gdyż trzeba pamiętać, że koszty materialne produkcji zwierzęcej są znacznie wyższe (66 proc.) niż produkcji roślinnej (45 proc.).

Odmiennie od stosunków u nas panujących kształtował się stosunek ten w krajach o rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej jak np. w Anglii gdzie w r. 1929 wartość produkcji zwierzęcej stanowiła ok. 79 proc., czy w Niemczech (ok. 70 proc.), czy Francji (ok. 56 proc. całej wartości produkcji rolnej), a inaczej znowu w krajach kolonialnych, zacofanych gospodarczo, jak np. w Indiach, gdzie wartość produkcji zwierzęcej wynosiła zaledwie ok. 13 proc., lub w Chinach, gdzie osiągała ok. 35 proc. wartości globalnej produkcji rolnej.

Ciekawe również światło, na zacofany, **półkolnialny** charakter naszego rolnictwa rzuca analiza ciężaru gatunkowego poszczególnych upraw roślinych (wartości produkcji roślinnej i produktow hodowlanych (w wartości produkcji zwierzęcej).

Tak więc przed wojną (r. 1938) największy ciężar gatunkowy — 22 proc. wartości produkcji roślinnej reprezentowały ziemniaki, na drugim miejscu żyto — 20 proc. oraz słoma — 20 proc., na trzecim — siano łąkowe — 9 proc., podczas gdy szlachetniejsze rośliny pozostawały daleko w tyle — pszenica — 8 proc., jęczmień — 4 proc., buraki cukrowe zaledwie 2,5 proc., oleiste mniej niż 1 proc.!

Z tych suchych liczb aż bije w oczy tragedia produkcyjna rolnictwa w pętach kapitalizmu: ziemniaki, żyto, słoma, siano — stanowią prawie trzy czwarte wartości całej produkcji rolnej!

W produkcji zwierzęcej na pierwsze miejsce wybijało się mleko (ok. 32 proc.), na drugie — mięso wieprzowe (24 proc.), na trzecie — obornik (23 proc.), na czwarte — jaja (6 proc.), na piąte — żywiec wołowy (5 proc.).

Dane te jasno ilustrują zacofanie przedwojennego rolnictwa w dziedzinie produkcji zwierzęcej: małą podaż mięsa wołowego (brak pasz zwłaszcza treściwych i warunków dla tuczu), za mały udział (w por. do produkcji zwierzęcej mięsa wieprzowego, jego udział w wartości produkcji zwierzęcej nie wiele przewyższa wartość obornika), zaniedbanie hodowli drobiu itp.

WYNIKI TRWAJĄCEJ REWOLUCJI AGRARNEJ

Obraz rolnictwa w Polsce Ludowej jest całkowicie odmienny od obrazu rolnictwa przedwojennego zarówno pod względem poziomu sił wytwórczych profilu produkcyjnego, bieżących wyników produkcyjnych, jak i co najważniejsza pod względem kierunków i perspektyw rozwoju.

W toku przemian już zaszłych w okresie Planu Trzyletniego i zachodzących obecnie w toku realizacji Planu 6-letniego kształtuje się w Polsce **nowe rolnictwo** o wspaniałym tempie rozwoju sił wytwór-

(Dokończenie na str. 7-ej)

*) K. Czerniewski, Maszyny i narzędzia rolnicze w drobnych gospodarstwach chłopskich, Warszawa, 1938.

**) Właściciel np. dóbr łańcuckich w woj. rzeszowskim Potocki potrafił wydać na cięte kwiaty do ubrania stołu (sprowadzone specjalnym samolotem z cieplarń londyńskich) sumę 120 tys. zł, sumę odpowiadającą ówczesnemu, tygodniowemu zarobkowi 6 tys. górników.

Pamiętniki

JANINA WIERNICKA

JASNOŚĆ ZE WSCHODU

Ja obywatelka Janina Wiernicka, nie jestem uczona, bo chodziłam zaledwie niecałe 4 lata do szkoły. Za czasów kapitalistycznych nie miałam sposobu i warunki nie pozwalały się dalej uczyć. Wyrosłam w nędzy i niedostatku. Mam już obecnie 46 lat i myśli moje, nad którymi tak często psułam głowę pokryły mi włosy lekką siwizną. Nieraz opanowały mnie myśli ażeby napisać swój życiorys, lecz nie mogłam się jakoś zebrać, bo tak se myślę, po co głowę łamać, jak się nie jest uczonym. A choćbym nawet napisała to właściwie na co to się komuś przyda? Bo przecież jak kto czyta książkę, a jest napisana o bogactwie, to więcej kogo interesuje, a o biedzie niewiele chce kto słuchać. A jest właśnie przeciwnie, bo gdy człowiek pozna biedę i oceni, to zrozumie prawdę w biedzie. W biedzie człowiek uczy się prawdziwej świadomości i rozumu i poznaje wtedy prawdziwych przyjaciół, lecz przyjaciel to tylko ten może być kto sam poznał biedę i ciężką pracę a jeszcze był bity i gnębiony głodem.

Jestem żoną hutnika, zamieszkałą w Lubartowie koło Lublina. Miasteczko to jest małe, powiatowe, przemysł jest bardzo mały. Zaledwie jedna huta szkła, gdzie wyrabiają butelki. Więc ja jako nieuczona tak piszę...

OPOWIADANIE 2

Roku 1904 dnia 12 października przyszłam na świat, jak opowiada mi matka z nędzną spłaszczoną głową i bardzo płacząca. Lecz matka była zadowolona ze mnie, chociaż sąsiadki się interesowały, że Kellerowa taka stara kobieta i takie dorosłe dwa syny, a tu małe dziecko. Chociaż starszy brat mnie nie bardzo lubił, lecz za to młodszy był bardzo zadowolony. Prosił matkę ażeby mi dano na imię Janina, choć sam się nazywał Janek.

Lubił mnie bardzo, chociaż mu nieraz nie dałam spać, bo bardzo płakałam. Mówiły kobiety, że ja mam płaczki. Opowiadam tu o takich babskich zabobonach. Kazały matce narobić lalek i zawiązać w węzełek i zanieść do takiego domu, gdzie są małe dzieci i wsadzić za okno, to przestanę płakać. Matka tak zrobiła lecz i to nie pomogło. Ja wraz płakałam. W roku 1905, opowiadał mi ojciec, wybuchły w Lubartowie strajki, że była okropna strzelanina, nawet ojca, brata młodszego aresztowali. Kiedy ucichło w krótkim czasie został powołany brat najstarszy do wojska. Ja ukończyłam rok lecz płaczenie moje nie ustało. Dopiero po dwóch latach przestałam płakać. Na pewno byłam chora, bo w mieszkaniu była wilgoć, nigdy nie wysychało, nawet latem. Ja dopiero po dwóch latach zaczęłam chodzić. Nogi to miałam krzywe, że nawet ciężko mi było chodzić, ale chodzenie moje było niedługo, bo zaledwie niecały rok, i znowu przestałam chodzić. Więc od tego czasu już pamiętam, kiedy to siedziałam w kołysce pręcianej całymi dniami i wzrok mój był skierowany na ojca lub na drzwi od sieni, kiedy nadejdzie brat Jasio. A kiedy przyszedł, to parę minut ponosił mnie po mieszkaniu. A kiedy sadzał do kołyski, to zaczynałam płakać, to on mi obiecywał że mi przyniesie małego kotka, lub jaką zabawkę. A kiedy indziej znowu patrzyłam na ojca, kiedy to on skończy swoją pracę koszykarską, a kończył ją późno wieczorem, to brał mnie na ręce i nosił mnie długo. Śpiewał mi lub ze mną tańcował, a ja się śmiałam. Matka to mnie mało nosiła, bo nie miała czasu, tylko w niedzielę to mnie brała do kościoła i tak mi mówiła: mów pacierz i pomódl się do bozi, a bozia da ci zdrowie, że będziesz chodziła. Ja w kościele nie chciałam być, wołałam do domu, dokuczałam matce i wołałam: ja nie chcę tu być. Jak mnie przyniosła do domu, to skarżyła do ojca, że niegrzeczna byłam, żeby mnie nie nosił na rękach, ale ojciec mnie lubił i mnie nosił. Pamiętam to dobrze. Pamiętam dobrze, jak było mi bardzo przykro siedzieć w kołysce. Pewnego razu ojciec pojechał do Lublina, to mi kupił taką książkę z obrazkami, co się nią bardzo cieszyłam. Bardzo ją lubiłam. Były w niej rozmaite zwierzęta, a najlepiej to mi się podobał kot, co łapał myszkę. Brat Jasio mówił do ojca ona lubi oglądać książki z obrazkami, to ja jej przyniosę. Nie będziesz darła, to ci przyniosę. Powiadam: Nie, nie. I przyniósł mi. Kiedy mi się jedne sprzykrzyły, to mi przyniósł drugą.

OPOWIADANIE 3

Roku 1910 ukończyłam 6 lat. Chciałam chodzić do szkoły. Mama zaprowadziła mnie zapisać do szkoły, ale byłam za młoda i bardzo mała więc dopiero za rok poszłam do szkoły. Nauczyciel był ruski, ale bardzo dobry, nie pozwolił mnie dzieciom przezywać. Ja się nigdy nie skarżyłam, ale drugie dzieci skarżyły, że mnie chłopaki przezywają. On umiał do nich przemówić, że mnie nie przezywały. Uczyłam się nawet nieźle. Z końcem roku szkolnego zdałam, zaczęłam chodzić następny rok. Ale w domu było zmartwienie, które ja bardzo odczuwałam, bo brat mój kochany Jasio miał iść do wojska. To był dla mnie cios wielki. Uczyniłam wielki żal i płacz, kto mi będzie grał na skrzypkach, kto będzie ze mną rozmawiał, kto mi będzie przynosił książeczki z obrazkami i dawał pieniądze na cukierki. Ojciec mnie pocieszał, że jeszcze może nie będzie przyjęty, bo mu brakowało sporo zębów. Ale to była taka sprawa, że brat mój, jak już zaznaczyłam, pracował w kasie przemysłowej, tak ją wtedy nazywano. Więc posada była niezła, choć praca była ciężka, ale on był zdolny i dawał sobie radę. Ale miał takich bogatych wrogów, co to mówili, że nie ma wykształcenia, a taką posadę zajmuje i nazywano go po cichu politycznym. I właśnie jeden doktór miał swego kuzyna, co chciał na jego miejsce wsadzić. I on popierał ażeby go przyjąć do wojska, a ten zajmie posadę.

I tak się stało, że został przyjęty do wojska w roku 1912, dnia 31 października. Kiedy przyszedł do domu, ja byłam z matką. Siedziałam przy stole, a on przyszedł do mnie i mnie pocałował tak mocno, tak mocno. I nic już do mnie nie mówił, ale ja zaczęłam płakać. A on podszedł do łóżka i coś położył pod poduszkę. A do mamy podszedł i zaczął się z nią żegnać, a ona mówi: Co to znaczy, czego nic nie mówisz? I wyszedł z domu, a mama zaraz zemdlała, choć chciała lecieć za nim. A ja narobiłam płaczu, przyszły kobiety i ocuciły mamę i zaraz przyszedł ojciec, ale był bardzo blady i nic nie mówił. Wtem mama drugi raz zemdlała. Wtedy zaraz przyszła kuzynka mamy, to jest cioteczna siostra, mówi do mnie: chodź ze mną do mojej Jasi. Bo jej córka tak się nazywała. Wzięła mnie na ręce i poniosła na drugą ulicę i przyniosła mnie do Jasi, ale ja nie bardzo chciałam tu być — ciocia wyszła. A kiedy przechodziła koło okna, to jakiś mężczyzna się pyta: Czy to prawda, że syn Kellera się zastrzelił? Jak tylko to usłyszałam, to zaraz wybiegłam i pobiegłam do domu. Kiedy przyszłam na podwórze, to ludzi już było pełno. Weszłam do mieszkania i zobaczyłam swego kochanego brata. Ale już nie żył, martwe ciało leżało na łóżku. Lecz płakać nie mogłam. Ktoś wziął mnie na ręce i zaniósł do drugiego mieszkania, tu leżała moja matka, a doktór stał przy niej. Za 3 dni odbył się pogrzeb brata. Po pogrzebie wujek zabrał mamę i mnie do Warszawy. Tak to było. Jak się biedny chciał uczyć, to go nie dopuszczano do nauki, a kto choć miał jaką pracę, to go wygryzano, bo jest biedny. Biedniaki na wojnę, do służby panom, do łopaty, do roli, do nędzy, do głodu, do więzienia. Biedak może mieszkać w nędznym mieszkaniu, gdzie mieści się po dziesięć osób, dla biedaka łaty, wszy, choroba, bezrobocie. To dla biedaków było dostępne wtedy i później w Polsce kapitalistycznej. Tak to skończyło się życie mojego brata. Samobójstwem.

OPOWIADANIE 4

Rok 1913. Po śmierci brata pozostało trochę pieniędzy, jak ojciec sprzedał ruchomości. Mama miała po swoich rodzicach kawałek ziemi, a było tej ziemi 1 hektar, ojciec nie miał nic. Ta ziemia co mama dostała, była dwa kilometry od miasta, tak że było daleko, kiedy trzeba było obrobić, to drogo kosztowało, przeważnie nawieźć nawóz bo konia ojciec nie miał. Za miastem była dość piękna okolica, choć ziemia była piaszczysta. Ze wschodu były łąki, gdzie skoro wiosny wrzeszczały czajki. Z południa stała piękna willa. Około tej willi piękne stawy z rybami. A od budynków na zachód ciągnął się wąwóz obrośnięty brzozami i jodły i sosny, a środkiem płynął strumyk, który wypływał ze źródła. A z północy pola miejskie bardzo piaszczyste. Willa była ogrodzona parkanem z drzewa. A około tego parkanu był ten kawałek ziemi matki. Z północy na tym polu piaszczystym od strony pastwiska w skupieniu stało kilka domków takich malutkich. Nazywano je lepiankami, a były zrobione z chrustu i z takich odpadkowych desek i oblepione z wierzchu i ze środka gliną i kałem krowim zmieszanym z plewami i pokryte słomą lub trzciną. Takie lepianki stawiali sobie najbiedniejsi ludzie, bo w mieście takiej lepanki nie postawił.

To biedne małe przedmieście i ta piękna willa nazwane były Jackiem. Więc ojciec mówi do mamy: Jest kilka rubli, to może byśmy postawili jaki mały domeczek. Ale mama nie bardzo chciała, bo to jest daleko od miasta i za daleko mnie chodzić do szkoły. Ale w końcu się zgodziła, więc postawił taki mały domeczek, jedno mieszkanko i mała sień. Kiedy ojciec się sprowadził to mnie na razie się bardzo przykrzyło, ale później się przyzwyczaiłam. Poznałam tu te biedne dzieci, które do szkoły nie chodziły. Pytałam ich nieraz, czemu to nie chodzą do szkoły, to mi odpowiadały, chodziłyby, ale nie mają się w co ubrać, albo znów, że ojciec nie posyła, nie wiedzą dlaczego.

Ciężkie chwile przeżywałam. Tutaj matka rozpaczała o syna, ojciec był milczący. Dla mnie to było bardzo bolesne. Płacz mojej matki przeszywał mnie okropnie, że nie zapomnę tego nigdy, może jak by była świadoma, to by zrozumiała te moje bolenie, że dzieci nie znoszą płaczu rodziców. Najgorsze były dla mnie noce, kiedy tak się zrywała i płakała. Praca mojego ojca nie bardzo szła, zrobiło mi się jeszcze gorzej. Mama jak miała wolne chwile to spędzała na cmentarzu, to było też przykre dla mnie. Na jesieni poszłam do szkoły. To dzieci w szkole mnie się pytają: co wy mieszkacie na Jacku, przecież tam są sami złodzieje. Pytam jacy złodzieje, przecież tam mieszkają biedni ludzie, a nie żadne złodzieje. Przychodzę do domu i pytam ojca, jacy tu mieszkają złodzieje. A ojciec mi odpowiada: tu mieszkają bardzo biedni ludzie, którzy nie mają z czego żyć, a pracy stałej nie ma. Tu mieszka tylko jeden szewc i jeden, który się trudni kominiarstwem a reszta to są wdowy lub takie, co to chodzą drzewo rąbać do miasta, a nie mają nj kawałka ziemi. A jeszcze ich ludzie nazywają złodziejami. Czasem bywa, że bogatemu ktoś nakopie kartofli w polu, to zaraz mówią, że to te co mieszkają na Jacku. Bo biednego zawsze o wszystko posądzają choć nawet nie ukradł. Ja choć byłam mała lecz to zrozumiałam. Do szkoły było mi za daleko chodzić, a to dlatego, żem chodziła sama, bo gdy chodziło więcej, to zawsze jest weselej. Ale samej to przykro, przeważnie gdy już były mniejsze dni. Rano musiałam wcześniej wychodzić, to się trochę bałam. Więc musiała mnie mama, lub ojciec odprowadzić. A w zimie gdy wzięły mrozy i śniegi, to mieszkałam u znajomych.

OPOWIADANIE 25

Kiedy dotarły wojska radzieckie do naszego miasta Lubartowa, kiedy pierwszy żołnierz radziecki wszedł do naszego domku, to ja zaraz zrozumiałam prawdziwą wiarę w człowieka i wiarę w pracę. A kiedy to wszedł jeden i drugi i coraz więcej i więcej i wszyscy jednakowo mówili, że pobijemy Niemca, że idziemy na Berlin razem z waszymi Polakami — żołnierzami i partyzantami. I tak się stało.

Na jesieni we wrześniu przychodzi moja najstarsza córka Jadzia i mówi: mamusiu, u nas będzie w Lubartowie gimnazjum, to ja się mamusiu zapiszę. A ja się pytam czy to naprawdę, a ona mówi: tak mamusiu naprawdę. A ja powiadam, a może to trzeba bardzo dużo płacić, a ja może nie będę w stanie tak dużo płacić. A ona taka zadowolona — mamusiu, niedużo, 100 złotych miesięcznie, a jak kto będzie biedny to nic nie będzie płacił. Ja na początku nie wierzyłam, że to takie cuda mogą być. A tu naprawdę cuda się spełniły kiedy się przekonałam i zrozumiałam, że nastały inne czasy dla biednych ludzi. Zaniedbani, opuszczeni i zdziczeni i tak żeśmy rośli i rośli aż zaświeciło słońce ze wschodu. I to słońce zaczęło ogrzewać a drzewa dzikie zaczynają po trochu owoce wydawać, i wydają, i wydadzą, i będą wydawać. Już nam drogi nikt nie zagrodzi do jasności. Bo jasność dla człowieka to jest nauka i praca. To daje człowiekowi szczęście. I w dzieciach właśnie obudza się sprawiedliwość i z dziecka wyrośnie prawdziwy człowiek. I ta jasność zaświeci na całej kuli ziemskiej. Wszystkim biednym i postępowym ludziom pracy. A ci którzy są jeszcze zacofani, to się uświadomią. I nie będzie u nas dzikich drzew.

Janina Wiernicka

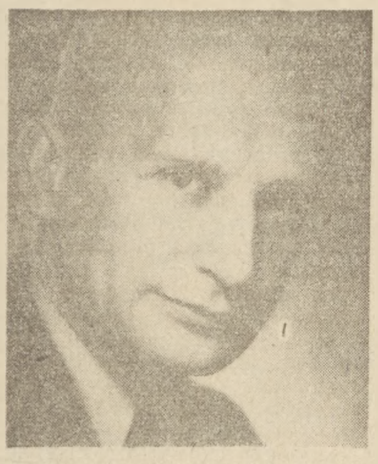

Włodzimierz Słobodnik

BOGDAN WOJDOWSKI

»ŚWIATŁA NA TRASIE« SŁOBODNIKA*

Ostatni tomik wierszy Włodzimierza Słobodnika obok utworów bieżących, znanych czytelnikom z prasy literackiej, stanowi nowy etap w twórczości poety. „Światła na trasie" oświetliły niewątpliwie jedyną słuszną drogę poetyckiego rozwoju. Słobodnik - liryk dowiódł, że potrafi dotrzymać kroku Słobodnikowi - satyrykowi.

Zebrane w tomie „Poufne" satyry, listy satyryczne i fraszki zdobyły już sobie zasłużoną popularność wśród czytelników „Szpilek". Utwory te śmiało i skutecznie demaskują imperializm anglo-amerykański („List otwarty", „Pieśń niemieckich żołnierzy" i in.) natrząsają się z rodzinnej konserwy, religianctwa („Ballada o Bzdurowie", „Anielska redakcja", „Pan Kameleon"), często potrącają o sprawy mniejszego kalibru, choć niemniej zasługujące na uwagę satyryka, żeby wymienić list „Do ministra poczt i telegrafów" czy „Odę na cześć Pickwicka".

Jako liryk Słobodnik posiada również pewną liczbę utworów czystych artystycznie i ideowo jednoznacznych, do których nieraz powrócimy. Np. „Pochód" (Cień skrzypka 1929), „Robotnicy sportowcy", „Na śmierć Sacca i Vanzettiego" (Nowa muza 1930), „Pustynia Kara — kum" (Wiersze napisane po powrocie do kraju, 1945—1948). Aby nie mnożyć przykładów na tym urywam, co nie znaczy, że listy tej nie należy sięgnąć dalej. Ale trzeba przy tym stwierdzić, że wymienione utwory reprezentatywne dla żywego nurtu twórczości Słobodnika, to tylko jedna jej strona. Równolegle z nim w liryce poety współistniał w okresie lat prawie dwudziestu (1927 — 1945) nurt skostniały i stopniowo martwiejący. O tym świadczy wymuszony barok „Modlitwy o słowo".

Wesołość nad łanami, polanami
dnieje,
Niebiosa są ogrodem.
Gar mleka, jak pogoda krowia,
świeci Bogiem,
Miętowy każdy dzionek,
Człowiek jest jasny, czerstwy,
dobry i ubogi,
Serce jego skowronek.
. . . . . .
Pogodnie tu się żyje i pogodnie
kona.
Błogosławionyś, Panie,
Że życie takie piękne, że śmierć
zamyślona
W porę nad nami stanie.
(Pogoda).

O tym świadczy do niczego nie prowadząca refleksyjność i jałowa zaduma „Wierszy" (1936), w których zresztą znajdziemy także tony już niemal kabaretowe:

I słowik — milcz! — z samego
centrum nocy
Perłowym sznurem — milcz! —
wyciąga trele...
I żądza jest, i krwi zwierzęce głosy,
I tej miłości — słuchaj! — aż za
wiele.

Ta strofa wyjęta jest z wiersza pod wiele mówiącym tytułem „Ta noc, ta noc!". Trudno mówić o jakiejkolwiek odrębności, ten nurt stanowi wręcz zaprzeczenie poporzedniego. Przypomnijmy fragment z wiersza „Na śmierć Sacca i Vanzettiego".

Jest inny sąd, panowie! Statua
wolności,
Barami ludu w chmurne niebo
wydźwignięta...
On zmiażdży was, zdruzgocze,
zetrze z łona ziemi,
Na gmachy sądownictwa runie
gniewu gmachem!
Za śmierci dwóch serc sercami
spali ognistemi
Was podłych, was nieprawych, was
duszonych strachem!

Patos tej nagiej, pozbawionej konwencjonalnych ozdóbek retoryki odpowiada w pełni uczuciu szlachetnego gniewu, jaki budzi sam fakt. Jakże daleko jesteśmy od niefrasobliwej litanijki — „Pogoda" i niesmacznej egzageracji uczuć („Ta noc, ta noc!"). Po jednej stronie surowa, skupiona liryka, po drugiej płaska, fałszywa refleksyjność, tu dojrzałe, oszczędne rzemiosło, tam rozgadanie — oto co dzieli tendencyjny, walczący nurt w poezji Słobodnika od nurtu rzekomej „poezji czystej". Po tej linii też przebiega rachunek strat artystycznych i artystycznych sukcesów Słobodnika.

„Światła na trasie" kładą kres dwutorowości w poezji Słobodnika. Ani jeden z utworów tego tomu nie zasila tego błędnego nurtu, który wiódł poetę na manowce artystyczne i ideologiczne. Sprzeczność została przezwyciężona — ale ślady pozostały. I „Wiersze o Komunie" i „Dziewczynka z zapałkami" i „Ziarnko kawy", świadczą o tym, że autor zdecydowanie zrezygnował z określonej wyżej postawy. Natomiast jeszcze „Grajek uliczny" czy wiersz „Do robotnika marsylskiego" są choć w o wiele węższym zakresie nosicielami starych skłonności: stylizatorstwa, mitologizacji. Łatwiej zrewidować postawę, porzucić metodę, niż wyrzec się przyswojonych środków wyrazu. Zastrzec tylko trzeba, że te nieprzezwyciężone jeszcze relikty dawnej postawy nie są zdolne umniejszyć ważkości utworów z grupy wymienionej na pierwszym miejscu, która dominuje i nadaje charakter całości tomu. Przykładowo cytuję fragmenty z cyklu o Komunie — przede wszystkim piosenkę o komunardzie, który „nie dojadł chleba".

Strzelał i myślał patrząc na dymy,
Które się snuły po placu:
„O chleb i szczęście ludzkie
walczymy,
Oni — o zbytek pałaców..."
Pułki wersalskie w zwartych
szeregach
Ku barykadzie pobiegły.
Poległ komunard, nie dojadł
chleba —
I leżał chleb przy poległym".
(Piosenka o chlebie Komuny).

Mimo, że cykl liryczny o Komunie, dzięki więzi tematycznej, łączącej poszczególne człony oraz dzięki temu, że ściśle uzupełniają się one nawzajem, zakrawa na poemat, a już na pewno jest szkicem poematu — ostatnie epickie próby Słobodnika były prawdziwą niespodzianką. Na podstawie już chociażby tylko ostatniego tomu, można sobie wyrobić przekonanie, że Słobodnik celuje w małej formie lirycznej. Ale tę małą formę potrafi zaprzęgać do wielkich spraw. Zwróćmy uwagę, jak sentymentalny motyw dziewczynki z zapałkami przekształca się pod jego piórem w manifest antyimperialistycznego protestu:

...Przed domem marznie na ulicy
Dziewczynka z zapałkami.

Marznie, lecz jakże odmieniona!
W lód ścięty blask latarni
Oświetla oczy, które płoną
Gniewami Passionarii!

Zapałkę za zapałką — blada —
Zapala i w jej rączce
Każda zapałka zapowiada
Sztandary łopoczące.

Jak podpalona czarna sala
Noc płonie coraz jaśniej —
To zapałkami mrok zapala
Dziewczynka z dawnej baśni.
(Pudełko zapałek).

To samo da się zaobserwować w wierszu „Ziarnko kawy", który na tle tomu zwraca uwagę czytelnika jeszcze z innego względu. Jest to chyba najmniej stylizowany wiersz w zbiorze. W tej właśnie męskiej, zwięzłej liryce skłonny jestem upatrywać dalszą i pewniejszą drogę rozwojową poety, niż w całym szeregu efektowniejszych utworów. Ma się ochotę kilkakrotnie powrócić do tej lakonicznej opowieści o czarnym tragarzu, dla którego glob ziemski stał się „małym i gorzkim ziarnkiem kawy".

Omawiany tom zawiera szereg utworów, osnutych na tle przeżyć natury estetycznej czy intelektualnej. Stanowią one przytłaczającą większość książki. Ta poezja może mieć tyleż siły mobilizującej co utwory o walce klasowej, o bezpośrednio politycznej problematyce. Tylko pod jednym warunkiem, że poeta nie będzie patrzał na dzieła sztuki okiem naiwnego lub zblazowanego turysty, szukającego wrażeń i „tematów" w Bädeckerze czy podręczniku literatury. Wiersz, który ma czytelnikowi narzucić trafny i dojrzały sąd o dziele sztuki czy jego twórcy, — a nie tylko przekazać jednorazowe wrażenie autora — nie może uchylać się od interpretacji faktu kulturalnego. Poeta staje przed wyborem metodologii. Historyka kultury obowiązuje metoda, a poeta „intelektualny" jest poetą i historykiem w jednej osobie. Punkt widzenia Słobodnika wydaje mi się na ogół słuszny. W utworach poświęconych twórcom naszego romantyzmu („Ku czci Chopina", „Pod jednym płaszczem", „Do Mickiewicza"), Słobodnik podnosi np. kwestię ludowości ich sztuki, tradycje przyjaźni i międzynarodowej solidarności rewolucyjnego skrzydła romantyków. Podobnie w wierszu o Bachu, piękną strofą określa charakter jego muzyki i jej sens.

Dźwigając wiek swój niczym
klęskę
Płomiennym niebem on się mieni,
Lecz jego niebo było ziemskie,
A każdy ton, jak grudka ziemi.
(Jan Sebastian Bach).

Wskazuje, że sztuka daje artyście zawsze możność zajęcia zdecydowanego stanowiska społecznego, jest w jego ręku albo protestem, albo cichą zgodą na nierówność, krzywdę, albo wręcz środkiem schlebiania możnym. W muzyce Bacha Słobodnik dostrzegł to, co go wyzwoliło z ciasnych ram kultury klasy panującej i przekazało następnym pokoleniom. Doświadczenia poetyckie Słobodnika przekonują nas raz jeszcze, że „poezja intelektualna" właściwie pojęta spełnia doniosłe zadanie poznawcze. Ale czyha na nią też poważne niebezpieczeństwo stoczenia się do rzędu stylizowanych obrazków, wprawek poetyckich. Za taką uważam „Balladę o normandzkim kościele Wang w Bierutowicach". Ballada ta daje odrealniony opis zabytku. Temat w niej staje się wyłącznie pretekstem na który poeta namotał pojedyncze skojarzenia i metafory. Utwór nie ma więzi organizacyjnej. Bez wielkiego uszczerbku możecie poprzestawiać kolejność strof, lub czytać je od ostatniej. Natomiast pełnym przeciwieństwem tego utworu jest wzorowa ballada o rycerzu von Kamecke. Małe arcydzieło, gruntownie przemyślane, czysto i logicznie skomponowane, z akcją, konfliktem i „morałem". Stąd do nowych poematów Słobodnika już tylko krok. Dlaczego nie udała się ballada o Wangu, tym zagadkowym zabytku dolnośląskim, kościele przewiezionym do Karkonoszy przez jednego z książąt aż ze Skandynawii? Iście balladowy temat! Słobodnik nie wykorzystał momentów dynamizmu, zrezygnował z ruchu akcji, pokazał zabytek — statycznie. Zabrakło mu idei organizującej, w wyniku czytelnik otrzymał mozaikę.

Zdarzyło się tak, że numer pisma z balladą Słobodnika kupiłem w Bierutowicach. Znałem Wanga, ale jeszcze raz poszedłem go obejrzeć. Rozczarowałem się. Nie potrafiłem poprzez strofy Słobodnikowskie dojrzeć tego rzeczywistego Wangu. I wtedy z wierszem Słobodnika w ręku podsłuchałem uwagę jakiegoś wczasowicza. Na wyjaśnienia przewodnika, że kościół został przewieziony tu aż ze Skandynawii, krzyknął: „ile to pracy musiało kosztować przy ówczesnych środkach transportowych!". Zacząłem z nim rozmawiać. Okazało się, że na wczasy wysłał go wrocławski Pafawag. Szkoda, że na moim miejscu nie było Słobodnika. Robotnik podpowiedziałby mu, jak ma wyglądać wiersz o Wangu, o tym rzeczywistym Wangu, który kilkaset lat temu na rozkaz jakiegoś księcia gromada jego poddanych wlokła z nad brzegów Morza Bałtyckiego do gór Sudeckich.

W ludzkiej muzyce Bacha trzeba dojrzeć tolerancję reformacji, w mazurku Chopina — zawodzącą biedę chłopską, za purpurowym witrażem Wangu — pot i krew pańszczyźniaka. Oto treść poezji humanistycznej, która za każdym dziełem sztuki widzi masy rzeczywistych twórców materialnych podstaw kultury.

Bogdan Wojdowski

*) Włodzimierz Słobodnik — „Światła na trasie", Książka i Wiedza", 1950 r.

*r o b o t n i k ó w *)*

KAZIMIERZ JÓŹWIAK

FRAGMENT ŻYCIA CZŁOWIEKA

W Lubartowskiem na wsi po rozpłynięciu się złudzeń poprawy bytu w związku z zamachem Piłsudskiego, w masach mało i średniorolnych chłopów dojrzewała świadomość, że tylko jedność robotniczo-chłopska i wspólna walka może przynieść wyzwolenie spod ucisku i poprawę bytu. Toteż wpływy Polskiego Stronnictwa Ludowego topniały z dnia na dzień na rzecz Niezależnej Partii Chłopskiej. Poseł na Sejm z PSL obwodu Lubartowskiego p. Tatarczak, przyłączył się do powstałego Stronnictwa Chłopskiego na terenie Sejmu i przyjeżdżając na swój teren, zaczął urządzać wiece, wygłaszając radykalne frazesy, celem podreperowania swoich wpływów.

Gdy pewnego razu przygotowałem się do zdemaskowania jego radykalizmu na wiecu, nie udzielono mi głosu. Skutek tego był taki, że chłopi zaczęli pluć na to i zapytawszy się dlaczego to nie pozwala się drugim wypowiedzieć, zaczęli się rozchodzić, nie czekając końca wiecu.

Po tym wypadku, gdy tylko urządzano wiec, a robiono to niespodziewanie, w dni targowe na rynku wówczas towarzysze zawiadamiali mnie o rozpoczęciu wiecu. Ja biegłem zabrać głos bez przygotowania, wiedząc z góry, że mi nie pozwolą mówić. Ale niedopuszczenie mnie do głosu lepiej przemawiało do mas niż długie, pełne radykalnych frazesów przemówienie Tatarczaka czy innego jakiegoś kapitalistycznego kabłąka.

Na rok przed mającymi się odbyć wyborami do Sejmu w r. 1928 Tatarczak zaczął się krzątać koło zorganizowania sobie bazy wyborczej wśród chłopów i przystąpił do zorganizowania Stronnictwa Chłopskiego na terenie lubartowskiego powiatu.

Tatarczak utworzył sekretariat Stronnictwa Chłopskiego w Lublinie, przy ul. Zamojskiego 12, gdzie posadził swojego sekretarza Wójtowicza, który usiłował pozyskać radykalnie nastrojonych chłopów.

Celem zorganizowania powiatowego Zarządu Stronnictwa Chłopskiego w Lubartowskiem. Tatarczak zwołał zjazd chłopów z powiatu do Lubartowa. Zjazd odbywał się w szopie strażackiej.

Przy wejściu do szopy Tatarczak mnie zatrzymał, motywując, że to jest zjazd Stronnictwa Chłopskiego i że ja na nim nie mogę być. Odpowiedziałem mu, że o ile wiem, Stronnictwo Chłopskie na tym terenie jeszcze nie istnieje. Wówczas Tatarczak zgodził się mnie wpuścić, pod warunkiem, że nie będę wygłaszał swoich poglądów. Gdy zgodziłem się na ten warunek, wpuszczono mnie na salę.

Po przemówieniu Tatarczaka, jego sekretarza Wójtowicza i paru innych poprosiłem o głos. Tatarczak spojrzał niepochlebnie w moją stronę. Udzielono mi głosu. Między innymi zacząłem wyjaśniać, że stronnictwo chłopskie nie różni się w niczym od PSL, że nadanie innej nazwy stronnictwu z tymi samymi przywódcami, mającymi taką samą taktykę i taki cel, jaki miało stronnictwo o poprzedniej nazwie, podobne jest do garnuszka o innym kolorze, do którego przelewa się rycynowy olejek z poprzedniego, żeby nieświadome dziecko prędzej chciało wypić, mniemając, iż w innym garnuszku jest inna treść. Organizatorzy Stronnictwa Chłopskiego uważają chłopów za tak mało świadomych, że wystarczy przemalować nazwę, żeby przyjęli zawartą w niej treść, żeby w ten sposób mogli chłopów oczyszczać z resztek w ich komorach.

Gdy skończyłem, powstała wśród zebranych burza oklasków. Tatarczak zwrócił się do mnie i zawołał: Panie Jóźwiak, pan przyrzekł nie zabierać głosu. Dlaczego pan wprowadza ferment! Gdzie pańskie słowo?

— Przyrzekłem nie wygłaszać swoich poglądów. Ale wolno mi wygłaszać poglądy Niezależnej Partii Chłopskiej, która jest jedyną partią broniącą szczerze interesów chłopskich i w jej imieniu przemawiam.

— Aaa! Komunista! Precz z komunistyczną NPCh! — zaczęli krzyczeć i wygrażać w moją stronę pięściami: Sekuła — sklepikarz, Kożuchowski — chłop - młynarz, Jezior — instruktor i kilku innych przy prezydium. Tylko sekretarz Stronnictwa Chłopskiego — Wójtowicz, stał neutralny i uśmiechał się, następnie zabrał głos pojednawczy, motywując w swym przemówieniu, że na zebraniu winien każdy mieć prawo głosu, a zebrani mają swój rozum i mają możność rozważenia po czyjej stronie jest słuszność.

W odpowiedzi na zorganizowanie Stronnictwa Chłopskiego w powiecie, postanowiliśmy wzmóc propagandę NPCh i kolportarz Niezależnego Chłopa, w czym pomagał nam robotnik murarski — Józef Miąc, który z braku pracy wziął się za handel dewocjonaliami, i w dnie targowe, świąteczne i odpustowe, przy sprzedaży dewocjonaliów kolportował Niezależnego Chłopa. Na szykany ze strony policji odpowiadał:— Dajcie mi pracę, to nie będę zajmował się handlem. A jeżeli już handluję, to handluję wszystkim na czym można zarobić.

Gdy go pytano, dlaczego innych gazet nie sprzedaje tylko Niezależnego Chłopa, odpowiadał: — Te inne nie idą, nikt nie chce ich czytać.

W maju tegoż roku, druga manifestacja 1-szo majowa w Lubartowie, odbyła się wyjściem z huty szklanej, ulicą Lubelską do rynku miejskiego i z powrotem ulicą Kamionkowską do huty.

Na rynku do manifestantów przemawiał Franciszek Jóźwiak, który w tym czasie znalazł się w Lubartowie po odbyciu kilku lat więzienia.

Przemówienie swoje zakończył okrzykiem: „Niech żyje rewolucja socjalna międzynarodowa". Następnie znikł w tłumie i znalazł się znowu na placu huty przy rozwiązaniu manifestacji, gdzie w powtórnym przemówieniu nawoływał do zbiórki pieniędzy na MOPR. Robotnicy manifestacyjnie zaczęli składać datki. Po rozwiązaniu wiecu udał się z ob. Kobyłką Stanisławem poza nasypem toru kolejowego do lasku, w którym mieszkał Kobyłka.

Wieczorem tegoż dnia przyszedł do mnie policjant Wojciaszkiewicz w cywilnym ubraniu i pociągnąwszy nosem zaczął rozglądać się po mieszkaniu. Wreszcie zapytał: — Czy kuzyna nie ma u pana?

— Ja nie znam pańskiego kuzyna — odpowiedziałem, udając zdziwionego.

Pociągnął kilkakrotnie nosem.

— Ja nie pytam się o swojego kuzyna tylko o pańskiego.

— O którego?

— O Franciszka, który przemawiał na manifestacji.

— Przecież pan widzi, że go nie ma. Do szuflady go nie schowałem.

Pociągnął nosem.

— A gdzie on obecnie może być? Roześmiałem się.

— Pan ma taki ruchomy nos i zgubił pan ślad kuzyna, a mnie się pan pyta o niego? Skąd ja mogę wiedzieć — odrzekłem.

✣

Po zwycięstwie Piłsudskiego i obsadzeniu aparatu państwowego swoimi ludźmi, sanacja szykowała się do wyborów do Sejmu.

Wybory do Sejmu zostały poprzedzone wyborami samorządowymi. Nie wiem, czy to był przypadek, czy planowe jakieś wyrachowanie polityczne sanacji, że na pierwszy ogień w wyborach samorządowych w Polsce wysunięto Lubartów.

Około połowy maja 1927 r. ogłoszono wybory do rady Miejskiej w Lubartowie. Zaczęły się konferencje i zebrania stronnictw mieszczańskich i ugodowych. Myśmy się zastanawiali jak ustosunkować się do tych wyborów w ogóle. Jakie przyjąć formy w stosunku do PPS. Czy tworzyć wspólną listę i jaką dać nazwę tej liście?

W tej sprawie zostałem zaproszony przez przewodniczącego Komitetu Pow. PPS p. Szulca, naczelnika Kasy Chorych na konferencję, gdzie mi zaproponowano ni mniej ni więcej tylko przystąpienie naszej grupy do listy PPS. Oświadczyłem, że nie jesteśmy pepesowcami, i że możemy się zgodzić na wspólną listę o zupełnie odmiennej nazwie i przyjęciu pewnej deklaracji ideowej, opracowanej wspólnie, która będzie podstawą naszej działalności na terenie Rady Miejskiej. Wówczas zaczęła się debata nad nazwą listy. PPS-owcy nie chcieli się pozbyć firmowych liter partyjnych, proponując tylko dodatek do firmowej nazwy jak: „Lista Polskiej Partii Socjalistyczno-Społecznej", co w ogóle nie miało sensu, później: „Lista Polskiej Partii Socjalistyczno-Robotniczej".

Ja wysuwałem nazwę: „Lista Zjednoczonej Klasy Robotniczej", później: „Lista Współpracy Robotników i Socjalistów". Wówczas zarzucono mi, że chcę ich wyeliminować z partii i wysunięto ostateczną nazwę: „Lista Polskiej Partii Socjalistyczno-Lewicowej".

Ta nazwa została przyjęta i postanowiliśmy na następny wieczór, przystąpić do opracowania wspólnej deklaracji ideowej.

Następnego wieczoru, PPS-owcy cofnęli proponowaną już przez siebie nazwę listy, upierając się w dalszym ciągu przy pierwotnej nazwie tj. „Lista Polskiej Partii Socjalistycznej" wobec czego do porozumienia nie doszło.

Wróciwszy z konferencji, zastałem towarzysza z Warszawy pracującego w Wydziale Samorządowym KPP, który przyjechał poinformować nas w przygotowaniu się do wyborów do Rady Miejskiej, z czego byłem niezmiernie rad.

Przy pomocy tego towarzysza, zorganizowaliśmy Komitet Wyborczy pod nazwą „Jedność Robotnicza", do którego weszli: Milewicz Zygmunt, Gramburg Mieczysław, — robotnicy z huty: Biskup Walenty — szewc, Tomasiak Jan — murarz i Jóźwiak Kazimierz — krawiec.

Następnie na pełnomocników przy urnach powołano: Gramburga Miecz., Gajewskiego Antoniego i Kąkiela Stanisława — wszyscy byli robotnikami huty.

Przy układaniu listy kandydatów nie mogliśmy dojść do porozumienia. Ja stawiałem wniosek, żeby mnie nie stawiano na listę w ogóle, wychodząc z tego założenia, że doświadczenie wykazało, iż reakcja miejscowa uważa mnie już za głównego prowodyra ruchu robotniczo-chłopskiego na tym terenie i postawienie mnie na listę kandydatów na radnych, utwierdziłoby ją w tym przekonaniu i nasunęło wniosek, że wystarczy w jakikolwiek sposób usunąć mnie z terenu, choćby za pomocą prowokacji, żeby ten ruch osłabić. Dlatego też będzie używać wszelkich metod sobie znanych, żeby ten cel osiągnąć. Inni natomiast byli tego zdania, żeby mnie postawić na czoło listy. Po dyskusji i głównej argumentacji towarzysza z Warszawy, który poszedł na kompromis, ustaliliśmy, że na czele listy stanie Milewicz Zygmunt, ja po nim, dalej, Gramburg Mieczysław i inni.

Do wyborów przystąpiło 5 ugrupowań politycznych.

1. Jedność Robotnicza.
2. Klub Obywatelski (zjednoczona reakcja polska wszystkich odcieni).
3. Organizacja Żydowska (zjednoczona reakcja żydowska).
4. PPS.
5. Bund.

Zaczęła się agitacja przedwyborcza. PPS rozpoczęła ją manifestacją uliczną ze sztandarami i z mówcami sprowadzonymi z Lublina.

Płoty i domy oblepiono afiszami i odezwami czterech ugrupowań burżuazyjnych i ugodowych. Klub Obywatelski nalepił afisze, wyobrażające człowieka trzymającego karabin z bagnetem, na którym zawisł przebity robotnik w papasze z gwiazdą na niej, a na robotniku napis: Jedność Robotnicza... Organizowano wiece i zebrania...

My zebraliśmy groszowe składki, w tajemnicy przed władzami, które zabroniły wszelkich zbiórek na drukowanie odezw i numerków do głosowania. Odbiliśmy odezwę w Lublinie, przetransportowali ją w tajemnicy do Lubartowa, a następnie rozkleili na ulicach nocą, gdy tylko zaświtało. Odezwa została pozrywana i wydrapana przez policję i cywilnych przeciwników.

Zwróciliśmy się do dzierżawcy kina, żeby nam wynajął salę na zebranie. Dzierżawca się zgodził. Lecz wkrótce zawiadomił nas, że nie wynajmie nam sali. — Za żadną cenę — oświadczył — nie mogę wam wynająć.

Na zapytanie, co się stało — odrzekł: — Wzywał mnie starosta powiatowy p. Krauze, i zagroził mi, że za wynajęcie sali mogę ponieść przykre konsekwencje. Panowie — dodał. On mnie może obłożyć takimi podatkami, że te pieniądze, które wezmę od was za salę, wykaszlę na podatek za jeden miesiąc, a co dalej?... Tylko proszę zachować to w tajemnicy, gdyż p. starosta zobowiązał mnie, żebym o naszej rozmowie nikomu słowa nie wspomniał.

Nadszedł dzień głosowania. Po obliczeniu głosów okazało się, że reakcja polska otrzymała 9 mandatów, reakcja żydowska 9 mandatów, PPS 2 mandaty, Bund 2 mandaty, my dostaliśmy dwa mandaty.

Fakt otrzymania przez nas dwóch mandatów do Rady Miejskiej bez jawnej agitacji, przestraszył reakcję lubartowską i nie tylko lubartowską.

Reakcja uprzytomniła sobie, że otrzymana ilość mandatów na równi z PPS przez Jedność Robotniczą, to głosy nieprzypadkowe, łapane na ulicy, a zdobyte organizacyjnie, mające poważne znaczenie. Że ci ludzie, oddając swoje głosy w pełni zdawali sobie sprawę na kogo i dlaczego oddają głos.

Toteż prasa reakcyjna lubelska i warszawska uderzyły na alarm, stawiając Lubartów jako ostrzeżenie przedwyborcze w innych miastach, wskazując na wpływy komunistyczne i konieczność walki z nimi.

Ja przed tym nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, że wybory samorządowe w takiej mieścinie jak Lubartów tak uderzą i zabolą reakcję w całej Polsce.

✣

W Lubartowie było prywatne gimnazjum, którego właścicielem był p. Kurc. Wysunęliśmy wniosek, żeby Rada Miejska zwróciła się z wnioskiem do władz państwowych o przejęcie gimnazjum z rąk prywatnych i w ten sposób umożliwi kształcenie się w nim młodzieży szerokich mas ludu pracującego, upośledzonego pod względem materialnym i nie będącego w stanie kształcić swych dzieci w szkole prywatnej.

Wniosku z miejsca utrącić obawiano się z uwagi na opinię mas ludowych w Lubartowie i poza Lubartowem. Również niektórzy radni mieszkańcy, przychylali się do tego wniosku. Więc rozpoczęto szeroką dyskusję na ten temat. W dyskusji nawet p. Marzęda przychylał się do wniosku ze swego punktu widzenia, a mianowicie: pożytek z upaństwowienia gimnazujm motywował tym, że chłopi, mając możność kształcenia swych dzieci w gimnazjum, z powodu odległości będą zmuszeni lokować swe dzieci w mieście, co podniesie zyski sklepikarzy i właścicieli lokali.

Obecny na posiedzeniu starosta powiatowy, zorientowawszy się, że wniosek może przejść, zabrał głos i powiedział: — W województwie już jest jedno gimnazjum państwowe, które dostarcza wystarczającej ilości inteligencji dla potrzeb Państwa na terenie Lubelszczyzny. Państwo nie może produkować w zwiększonym tempie inteligencji, gdyż nawet dla tej, która obecnie wychodzi ze szkół, nie ma zatrudnienia. Państwo nie może obciążać się nowymi kosztami, co z konieczności spowodowałoby podniesienie podatku na ten cel podatku, który obciąży ludność, której panowie jesteście tu przedstawicielami, na cel, który nie tylko nie pokrywa potrzeb, ale jest wręcz szkodliwy i niebezpieczny Masowo wyciągane dzieci z domu biednego chłopa czy robotnika, które po szkole nie będą miały do czego i po co wrócić do domu, staną się społecznie elementem bardziej niebezpiecznym, niż wtedy, gdy będąc przy rodzinach, wspólnymi siłami będą pracować na własne utrzymanie. A liczenie na zyski z handlu od uczni z powodu upaństwowienia gimnazjum, jest krótkowzrocznością i w dalszej perspektywie ten zysk może się okazać bardzo, a bardzo wielką stratą dla panów. Zresztą — dodał starosta — Rada Miejska nie może się wtrącać w sprawy państwowe. Jej zakres działania, to sprawy obejmujące granice samorządu, a w sprawach państwowych kompetentny jest Sejm krajowy. I zbyteczne panowie nad tą sprawą dyskutujecie. Proszę wniosek oddalić jako nierealny.

Przemówienie starosty rozbroiło i tych nielicznych z prawicy, którzy popierali wniosek. Bez udzielenia mi w tej sprawie głosu, wniosek zdjęto z porządku dziennego.

Lubartów nie posiadał budynku szkoły powszechnej. Prywatne ciasne mieszkania, nie mogły pomieścić wszystkich dzieci w wieku szkolnym. Do istniejących szkół, mogły się dostać dzieci, których rodzice byli dobrze ustosunkowani w mieście. Dzieci bardziej jeszcze zamożnych rodziców, chodziły do gimnazjum lub do nich do domu przychodzili korepetytorzy. Więc ta klasa społeczna nie była zainteresowana w ogóle w budowaniu szkoły. A taki wniosek wypłynął.

Przeciwko temu wnioskowi budowy szkoły, nie miano odwagi wystąpić, ze względu na opinię ogółu. Toteż dyskusja na na temat budowy szkoły toczyła się na posiedzeniach Rady przeszło pół roku. W zasadzie godzono się na budowę szkoły, lecz starano się koszta budowy zwalić na barki najbiedniejszych, którym ta szkoła jest najbardziej potrzebna.

Rys. S. Gierowski

Gdy do składu komisji powołanej dla rozłożenia podatku na poszczególnych obywateli miasta na budowę szkoły, wysunął moją kandydaturę robotnik, radny z listy Klubu Obywatelskiego, według uchwalonego regulaminu posiedzeń Rady, nie mógł zdobyć pięć podpisów koniecznych do wystawienia kandydatury. Toteż w skład wybranej komisji weszli bogaci kupcy z burmistrzem na czele oraz ich sprzedajni pachołkowie.

Wyczyn tej komisji był taki, że obywatelowi, który posiadał bogaty sklep i czynszowy dom, wyznaczono podatek na budowę szkoły w takiej samej wysokości jak i obywatelowi, który wynajmował dla siebie mieszkanie i żył z pracy dorywczej. Przy czym okryto tajemnicą kto ile ma płacić.

Gdy przy poborze podatku ta sprawa wyłazła na światło dzienne, powstał w mieście krzyk, który spowodował zebranie Rady Miejskiej.

W czasie posiedzenia Rady, podczas debaty nad tą sprawą zabrałem głos i między innymi powiedziałem, że ta komisja zamiast być poważną komisją obywatelską, stała się gromadką błaznów, zabawiających bogaczy kosztem najbiedniejszych ludzi pracy.

Skutek tego wszystkiego był taki, że zreformowano komisję i rozkład podatku, a mnie burmistrz wytoczył proces za nazwanie komisji błaznami jako obrazę władzy, za co przysądzono mi dwa tygodnie więzienia na Zamku w Lublinie.

Podobnie, jak te dwa przykłady w dziedzinie szkolnictwa toczyły się również obrady w sprawie brukowania ulic, w sprawie targowiska, w sprawie ogrodu miejskiego, w sprawie domu ludowego, (czy społecznego)?, w sprawie łaźni miejskiej, w sprawie opłat wjazdu do miasta (rogatkowe), w sprawie wspólnego pastwiska czyli wygonu, należącego do robotników murarzy itp. itd. Większość burżuazyjna w Radzie do każdej z tych spraw podchodziła z punktu widzenia swych własnych interesów z pominięciem potrzeb ludu pracującego, o które trzeba było staczać nieustanną walkę, co narażało z tego powodu również na ciągłe szykany radnych Jedności Robotniczej w życiu codziennym.

✣

Po mojej odmowie napisania przyrzeczenia, że nie będę zajmował się polityką zorganizowano przeciwko mnie szturm z dwóch stron: — policyjnej i kołtuńsko-reakcyjnej. Kołtuństwo działało poprzez właścicielkę domu, gdyż z chwilą gdy zaprzestano mi dawać pracę, pozbył się również pracy i jej syn pracujący ze mną. Zmuszony byłem również oddać lokal, w którym wykonywałem pracę, zostawiając sobie maleńki pokoik z kuchnią, w której żona prowadziła pralnię, stanowiącą jedyny już tylko środek utrzymania. Tej możliwości egzystencji nie mogli zbojkotować, ponieważ, jak już wspomniałem pralnia żony była jedyną pralnią w Lubartowie.

Policja zaczęła mi coraz częściej przeprowadzać rewizje w mieszkaniu, a jej rodzina, znajomi, przyjaciele, przyjaciółki i współpracownicy zaczęli urabiać opinię. Zaczęły się pogaduszki wokół mojej osoby i rodziny.

— Słyszała pani? U Jóźwiaka, tego krawca, komunisty, dzisiaj znowu była rewizja.

— Co pani powie! Mój Boże, co ta biedna kobieta ma z tym chłopem!

— Tak, tak, moja pani. Jak to człowiek nie wie na kogo w życiu popadnie.

— A widzi pani, taka przystojna kobita i zmarnuje się przy nim. Karmi takiego konia, a ten zamiast pomyśleć o pracy, to tylko polityka i polityka.

— Komunista, proszę pani. Komuniści nie chcą pracować, oni myślą tylko o tym żeby komuś jego dorobek zabrać.

— Ja bym takiego, moja pani, wygnała z domu na cztery wiatry.

— Moja złociutka. Czy to tak łatwo z domu chłopa wygnać? To jest mężczyzna, proszę pani.

— Oj, pani kochana, jakby mu żryć nie dała, to by sam poszedł sobie na cztery wiatry poszukać dla siebie chleba.

— Jak się, moja pani, taki człowiek nie wstydzi żyć bez pracy, mając taki fach w ręku. Żona pracuje, on by pracował, wziął by jeszcze kilku ludzi do siebie i mogliby się szybko dorobić.

— Ale, ale Jak ten Pilcher, moja pani, Ludziom dał pracę i terminatorów nabrał, i patrzeć, za kilka lat, już sobie domek zaczął budować.

— Co pani powie! Już dom zaczął budować? A widzi pani.

— Albo ten Finkielsztejn Żyd, koło mostku. Pani! On żyje jak hrabia. Ze sześciu ludzi u niego pracuje, a panoszy się! Ho, ho, ho! Moja pani!

— A widzisz droga pani. Nie mógłby to nasz Polak żyć jak Żydzi żyją?

— Moja kochana pani, Polak to zawsze głupi.

— Ale, ale. Byłabym na śmierć zapomniała powiedzieć pani. Podobno u jakichś tam Żydów też dzisiaj była rewizja.

— A, proszę pani, bo to komuniści. Każdy Żyd, moja pani, to komunista. Że też tych komunistów nie powsadzają wszystkich do więzienia. Niejednemu by tam ulżyło, jak chociażby tej Jóźwiakowej. A ich nauczyliby moresu w więzieniu.

Gdy te i podobne pogaduszki zaczęły się obijać o moje uszy, gdy je zaczęła mi powtarzać żona, nie wytrzymałem. Poczułem się jak w pancerzu. Ze wszystkich stron nacisk i kompletna niemożliwość poruszania się. Wobec tego postanowiłem, co by to nie było. i jak by nie było, wyjechać z Lubartowa celem poszukania sobie jakiejkolwiek pracy.

Po rozmowie z towarzyszami robotnikami murarskimi, powziąłem zamiar stanąć do roboty przy murarzach w Warszawie, jeżeli nie znajdę pracy w moim zawodzie.

Przyjechawszy do Warszawy, i obszedłszy ulicę za ulicą po pracowniach i magazynach krawieckich, przekonałem się, że pracę mógłbym dostać prowadząc chałupnictwo. Natomiast do warsztatów nie przyjmowano ze względu na to, że robotnikom łatwiej się było zorganizować do walki o warunki pracy i płacy, jak również ze względu na wynikające stąd koszta podatkowe, które nakładano na przedsiębiorców od ilości zatrudnionych robotników w warsztacie.

Żeby móc zaprowadzić chałupnictwo, trzeba było mieć mieszkanie. A żeby nowoprzybyłemu do Warszawy zdobyć mieszkanie, trzeba było być kapitalistą, a nie bezrobotnym z prowincji.

Pozostawała jeszcze nadzieja pracy przy murarzach. Lecz i tu okazało się, że trzeba czekać aż kogoś zwolnią z pracy, żeby móc zająć jego miejsce. W oczekiwaniu tego, wyczerpawszy środki do życia, zaszedłem do posła na Sejm z Samopomocy Chłopskiej ob. Wójtowicza i zwróciłem się do niego z prośbą o pożyczenie mi kilku złotych. W rozmowie Wójtowicz powiedział mi: — Chłopie, ty zdajesz sobie sprawę, co to jest praca przy murarzach? Gdybyś był stolarzem, kowalem, czy rolnikiem, to jeszcze bym rozumiał. Ale porównanie pracy krawieckiej, z pracą pomocnika murarskiego, jest nie do pomyślenia.

— Przyzwyczaję się — odrzekłem.

— Umrzesz bracie wpierw, zanim się przyzwyczaisz. A myślisz, że przedsiębiorca, to będzie ci płacił pieniądze i trzymał cię, aż ty się przyzwyczaisz i będziesz mógł wykonywać to, co drugi do tej pracy przyzwyczajony? Tu prócz przyzwyczajenia trzeba mieć siłę, zdrowe mięśnie, a ty gdzie rozwinąłeś swoje mięśnie? Przy igiełce? Nie, bracie, ten twój pomysł wcale mi nie trafia do przekonania. Z tego nic nie wyjdzie.

Kazimierz Jóźwiak

*) Fragmenty prac wyróżnione na konkursie na wspomnienia robotników organizowanym przez Polskie Radio i Państwowy Instytut Wydawniczy. Tytuły oryginalne.

JERZY GORDON BYRON.

HA! BRAWO LORDOWIE...

ODA

Ha! brawo lordowie! Tobie Ryder — sława
za pomysłność Brytanii! Lekarze troskliwi:
Hawkesbury, Harrowby — dobre wasze prawa,
które ją zabiją, kiedy wyście żywi!
Chłopi i tkacze krnąbrni — bunt zażegli,
błagać śmią o ratunek w Miłosierdzia imię,
więc gronami wisielców — o, sędziowie biegli —
ozdabiajcie fabryki, prawo niech zasłynie!

Bo kiedy niszczą — za łotrów przyczyną!
I pies ugryzie na głodu obroży.
— Stryczek zadość uczyni zniszczonym maszynom,
o wysokie koszty niech rząd się nie trwoży.
Łatwiej jest, niż maszynę, człowieka zamienić,
a ceny płótna wyższe niźli drogie życie,
więc podeprze się niebo przęsłami szubienic
one przemysł dźwigną w chwale i rozkwicie.

Sprawiedliwość umilkła pod przemocą zbrodni
z pułków i szwadronów i ulicznych szpicli,
kat i prokurator jakże z sobą zgodni,
jakże sąd poślubiony złodziejskiej policji!
Choćby chcieli prawdę znaleźć sprawiedliwi,
daremnie im błądzić w paragrafów mroku.
LIVERPOOL zuchwałym planom się sprzeciwi
i niewinnie skazani zginą bez wyroku.

Kiedy głód adwokatem, kiedy dusi nędza,
lud nie zapomni dni takiej przeszłości,
kiedy życie mniej warte niźli warta przędza,
i gdy trybów łamanie — to łamanie kości.
I ludzka pamięć jeśli nie zawiedzie,
(a takiej nadziei czyż poniecha który?)
to prawo głupców umrze zanim się narodzi...
Mieli dać lekarstwo, a przysłali — sznury.
(1812)

NA KRÓLEWSKĄ WIZYTĘ W GROBOWYCH PODZIEMIACH

Zbrodniami wsławiony małżonek grobowy
Henryk bez serca — sąsiadem Karola bez głowy.
Między nimi ktoś trzeci z tragarzy korony
żyje, rusza się, rządzi — majestat wcielony.

Podwójną wielkością swą tyranię mierzy
nikczemność tamtych czyniąc wielkości probierzem.
Próżno śmierć sprawiedliwa zmieszała ich prochy,
skoro z grobów znów wstają królewskie molochy.
Bo cóż skryją groby — gdy martwi pospołu
żywego tworzą króla z prochu i popiołu.
(1819)

STANCE

Gdyś walczył o Wolność w swym kraju daremnie
— pola bitwy poszukaj w ojczyźnie sąsiada.
Jak w antycznych legendach, mężnie i płomiennie,
trud ten głową przepłacisz gdy przyjdzie zagłada.

Jeśli snujesz zamiary szlachetne i wielkie,
szlachetną otrzymasz nagrodę zamierzeń.
O Wolność walcz! — a gdy cię stryczek nie tknie
na pewno jej pierwszym zostaniesz rycerzem.

PODRÓŻ PRZEZ CEPHALONIĘ

Zbudzili się umarli — a ja mam zapaść w sen?
Świat walczy z tyranami — czyż kryć się będę?
I dojrzał plon — czyż przed żniwami drżę?
Mam łoże — cierni grzędę.
Co dzień pobudka dźwięczy dla mnie —
W sercu mym echo —

(1823)

PIEŚŃ DLA TOWARZYSZY NED LUDD'A

Jak nasi bracia, którzy za morzami
za krew kupili Wolność, tę najdroższą rzecz,
Tak i my, chłopcy — my sami
zdobędziemy wolność, lub zginiemy dla niej.
Niechaj Ned Ludd żyje — a z królami precz!

Gdy nici dla krosien zabraknie nam w szpuli,
zmienimy czółenka — nożem lepiej tkać!
W śmiertelnej koszuli
czart łotra przytuli,
ubarwimy koszulę — w jusze będziem prać!

Choć zgniła na błoto, nie będzie jałową —
— Taką rosą niech skropi zdychający gad
Wolności drzewo,
by kwitło na nowo.
Wolności drzewo posadził Ned Ludd!

(1816)

JAMES GILLRAY — BITWA

W TRZYDZIESTĄ SZÓSTĄ ROCZNICĘ MOICH URODZIN
(22 stycznia 1824)

1.
Czas, by zmilkło serce we mnie
gdy serc innych w nim nie zmieszczę;
Jednak, choć już nie wzajemnie,
chcę kochać jeszcze.

2.
Moje dni, to zżółkłe liście.
Miłości owoc — już przejrzały.
Gryzący smutek, rak boleści —
jedynie mi zostały.

3.
Płomień trawiący w mojej piersi,
wulkan samotny zimnych ogni —
— znicz pogrzebowy. Nie rozniecі
żadnej pochodni.

4.
Nie mnie nadzieja ani strach,
ni trud pobożny ni cierpienia;
Dla mnie już wiara i miłość ma
murami więzienia.

5.
Lecz nie t u t a j i nie t a k ą
myślą darzyć mi się t e r a z,
kiedy Sława stroi nagą
pierś bohatera.

6.
O Grecjo! Sławo! — Na Miecz i Sztandar
i pól bitewnych rozrzucone kości!
Taką nie szczycił się żaden ze Spartan
chwałą Wolności!

7.
Powstań! — (nie Grecjo, boś Ty już zbudzona)
niechaj ja wstanę, niechaj wiem przez kogo
krwi płyną strumienie z przebitego łona,
niech wskażę wrogów!

8.
Precz wskrzeszone namiętności!
czcze uczucia! — Już nie liczę
uśmiech czy też grymas gości
na muzy obliczu.

9.
Gdy żałujesz nawet wspomnień,
i wbrew chęci życ ci źle,
— po co żyjesz- — Hej, do broni!
oddaj krew!

10.
Grób mi żołnierski przeznaczony
mocą nieznanej nam wyroczni.
Więc szukaj grobu. Gdyś znużony —
tam spocznij.

Przełożył SŁAWOMIR MROŻEK

LESZEK HERDEGEN

POETA REWOLUCYJNEGO ROMANTYZMU

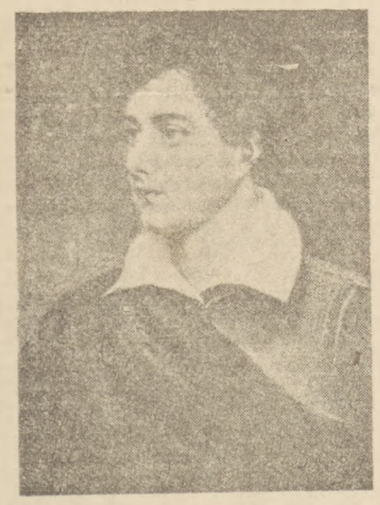

Jerzy Gordon Byron

1

W kwietniu 1949 roku minęła 125 rocznica śmierci największego poety angielskiego, Jerzego Byrona. Twórca ten stanowi na tle całokształtu ówczesnego życia literackiego Europy zjawisko w pełni oryginalne. Dlatego nie należy się dziwić, że ZSRR i kraje demokracji ludowej uczciły uroczyście rocznicę śmierci poety, którego twórczość wpłynęła w literaturę światową rewolucyjnym i śmiałym nurtem. I nie należy się dziwić stanowisku współczesnej Anglii, która tak ważną dla całego cywilizowanego świata datę pominęła zasadniczo milczeniem, udostępniając jedynie dalsze materiały biograficzne, wnoszące nowe akcenty i szczegóły do atmosfery skandalu, którą przeciwnicy Byrona wytworzyli jeszcze za życia poety.

W pierwszych latach działalności Byrona sława jego rosła i ogarniała „najlepsze" salony Europy. „Uważano go przede wszystkim za kapitalny przykład zbuntowanego anioła" — jak pisze Zrębowicz w „Kuźnicy". Był bożyszczem kobiet i anarchizującej młodzieży. Podziwiano jego umiejętności bakserskie, myśliwskie, alpinistyczne i pływackie. Utworzono termin „byronizm" oznaczający rozczarowanie życiem, nastroje smutku i samotności — wszystko to zespolone w osobowości nacechowanej skrajnym indywidualizmem. Późniejsi „literaturoznawcy" doszli również do wniosku, że antyspołeczna postawa twórcy mieści się w określeniu „byronizm". Arystokracja, którą Byron w miarę swego rozwoju i krystalizowania się świadomości ideowej coraz namiętniej zwalczał, doprowadziła w końcu do „dobrowolnej" emigracji poety z terenu Anglii, doprowadziła do otoczenia bujnego i prowokującego życia i twórczości poety atmosferą dwuznacznej, buduarowej plotki, która właściwie trwa do chwili obecnej. Brano pod uwagę tylko ten nurt jego poezji, w którym można by doszukać się śladów dość licznych przygód miłosnych poety. Co śmielsze, społeczną nutą nacechowane strofy i sformułowania w nielicznych, popularnych wydaniach jego pism po prostu wykropkowuje się, nie mówiąc już o tym, że utwory o tematyce społecznej i politycznej, będące apoteozą wolności człowieka, braterstwa ludów wyzwalających się spod przemocy Świętego Przymierza — są pomijane całkowitym milczeniem w rodzinnym kraju poety.

2.

„Obcy jestem nie tylko tej Izbie, lecz także prawie wszystkim jej członkom z osobna" — oświadczył Byron podczas swej pierwszej mowy z Izbie Lordów w r. 1812. Był to dzień drugiego czytania ustawy o zakazie niszczenia maszyn. Robotnicy mało jeszcze uświadomieni, a przerażeni szybkim tempem mechanizacji produkcji (co powodowało systematyczny wzrost bezrobocia) często niszczyli maszyny. Nazywano ich „Luddities" (luddyści) od nazwiska młodego chłopca Ned Ludd'a, który w r. 1811 wtargnął do fabryki galanterii i zniszczył kilka maszyn. Na tym tle wybuchały liczne strajki i rząd angielski przystąpił do policyjnego ich zdławienia, formułując przez Izbę Lordów ustawę o karze śmierci za niszczenie maszyn. Przed audytorium kapitalistów i politykierów wystąpił Byron z odważną mową w obronie gnębionych tkaczy. *„Usprawiedliwiam zbuntowanych i staję w ich obronie. Klasa robotnicza jest bardzo upośledzona, jeden człowiek przez mechaniczne środki zastępuje siedmiu, a resztę pozbawia się pracy; oczywiście, należy się cieszyć z postępu maszyn, ale nie godzi się, aby doskonałość maszyn okupywać degradacją człowieka" — „Nazywacie lud motłochem, ale nie zapominajcie, że właśnie „motłoch" jest zawsze wyrazicielem uczuć narodowych. Czy w pełni zdajemy sobie sprawę z tego, jak bardzo jesteśmy zobowiązani wobec tego „motłochu"? Przecież ten „motłoch" uprawia wasze pola, służy w waszych domach, kieruje waszymi okrętami, z niego rekrutuje się wasze wojsko — i tym samym daje wam możność zagrażania całemu światu. Jednakże, skoro lekceważenie jego żywotnych spraw i jego niedoli pchnie ów „motłoch" do aktów rozpaczy — wtedy i wam potrafi on zagrozić" — „Dobrobyt i nędza całego narodu, jego rozwój czy upadek — wszystko to dla was nie ma żadnego znaczenia. Dla was istnieje tylko hasło: Renty! Renty! Renty!"*

W atmosferze walki z Izbą Lordów powstała „ODA", w której poeta z odwagą atakuje szereg czołowych osobistości rządowych, a po czterech latach (1816) „PIEŚŃ DLA TOWARZYSZY NED LUDD'A" — jako echo powyższych wydarzeń. Bezkrytyczność tej ostatniej, żarliwą apoteozę zrozpaczonych lecz nieuświadomionych robotników możemy wytłumaczyć tą pasją, która nurtowała Byrona w walce z wrogami ludu aż do końca życia. „Dopiero uświadomiony robotnik przeniósł swą nienawiść z maszyny na społeczną formę eksploatacji, uprawianej za pośrednictwem maszyny" — pisze F. Engels. Dopiero w latach socjalizmu naukowego — już po śmierci Byrona — robotnik atakował nie narzędzia produkcji, lecz burżuazyjne stosunki produkcji.

Z tak dalece radykalnymi poglądami nie mógł Byron utrzymać się długo w parlamencie. Ustąpił z Izby Lordów widząc bezużyteczność swej pracy parlamentarnej. Jednak roli demaskatora obłudy i zakłamania ówczesnej klasy panującej, roli bojownika o wolność i sprawiedliwy ustrój poeta nie zaniechał.

Tymczasem ekscentryczny sposób życia Byrona, prowokujący oficjalną moralność, ostry artykuł „Bardowie angielscy i krytycy szkoccy", rozwód z Annabelą Milbanke, liczne przygody miłosne — wszystko to uczyniło go celem rozlicznych ataków, do tego stopnia dokuczliwych, że w r. 1816 Byron „emigruje" z Anglii na Kontynent.

3

W latach tych — jak wiadomo — zorganizowano pod egidą Metternicha ligę trzech mocarstw europejskich pod nazwą „Święte Przymierze". W Europie rozpoczyna się terror absolutystyczny, ogarniający coraz to liczniejsze kraje — w ich liczbie i Włochy. Liga urządza w Karlsbadzie, w Lublanie, w Weronie zjazdy i „spotkania" żandarmów Europy, których istotnym celem było stłumienie ruchów wolnościowych. Poezja Byrona była jednym z niewielu dozwolonych środków propagandy wolnościowej, którą szerzyły liczne tajne stowarzyszenia m. in. polskich Filaretów, niemieckich Tugenbundów i włoskich Karbonariuszy. Toteż po przybyciu do Włoch Byron nawiązuje kontakt z tą organizacją, zasila ją funduszami i wkrótce z zapałem uczestniczy w jej pracach jako gorący agitator, posiadający rozliczne stosunki i znajomości. Karbonariusze przygotowali powstanie. *„Wolna Italia* — pisał. — *Nic podobnego nie istniało od cesarza Augusta. Cóż znaczę ja, jeśli jedną iskrę przeszłości przekazać można nietkniętą przyszłym pokoleniom"*. Oczywiście, tego rodzaju działalność poety ściąga nań uwagę policji i Byron zmuszony jest ciągle zmieniać miejsce zamieszkania. Krąży między Wenecją, Rawenną, Florencją, Pizą i Genuą. Niestety, powstanie nie udało się. Opanowany przez rewolucjonistów Neapol złożył broń niemal bez jednego strzału przed armią austriacką. I wtedy Byron, zwolennik bezkompromisowej walki, pisze do swego przyjaciela Hobhouse'a: *„Nie mam tyle miejsca, aby móc swobodnie wyrzucić ze siebie żółć, ani żółci nie wystarczy, aby pluć na nich wszystkich"*.

4

W twórczości Byrona dopatrywano się tradycyjnie przede wszystkim dwóch problemów: „miłości i śmierci". W poematach „Child Harold", „Giaur", „Korsarz", „Więzień Chillonu" widziano jedynie rozwinięcie tych rzekomo typowych i dominujących w jego poezji zagadnień. Oczywiście, że problematyka filozoficzna, psychologiczna i moralna nie była Byronowi obca, ale naszym obowiązkiem jest zwrócić uwagę na inny, przemilczany nurt w poezji Byrona, który pozwala nam uważać poetę za jednego z twórców rewolucyjnego romantyzmu.

Child Harold, indywidualista, rozczarowany środowiskiem, w którym urodził się i wychował, podróżujący przez Bliski Wschód, Albanię, Grecję i Hiszpanię, czyni cały szereg spostrzeżeń o widzianych krajach, doznaje wzruszeń, które świadczą nie tylko o jego filozoficznych zainteresowaniach. Sympatyzuje z walczącymi z Napoleonem Hiszpanami, rzuca narodowi greckiemu wezwanie o czyn, ostrzega przed carską Rosją i Francją, które zabiorą Grecji odzyskaną wolność jeśli tylko nadarzy się sposobność. *„Kto chce być wolnym, sam musi stanąć do boju, własną prawicą tylko może wziąć zwycięstwo"*. Gdziekolwiek znajdzie się autor z bohaterem poematu, odzywa się głosem protestu przeciwko istniejącemu w Europie porządkowi i wzywa uciśnione ludy do zbrojnego przeciwstawienia się rządom Świętego Przymierza.

W atmosferze rozgoryczenia w w stosunku do świata powstają poematy wschodnie Byrona. Bohaterowie tych poematów nie tylko ulegają melancholii, rozczarowaniu do życia i samobójczym nastrojom, ale buntują się przeciwko społeczeństwu, walczą z nim i giną, nie posuwając się jednak daleko w tej walce, jak: Korsarz, Ataman czy Giaur. Piractwo, dowodzenie szajką — to jedyne dla nich sposoby zdolne zburzyć dotychczasowy, niesprawieliwy porządek świata. Bunt jednostki, której brak oparcia w ludzie niemniej bunt uzasadniony — jest na ówczesnym etapie rozwoju literatury zjawiskiem wyjątkowym i zasługującym na szacunek.

Najbardziej postępowe elementy poezji Byrona przetrwały żywe aż do naszych czasów. Sam Byron starał się przezwyciężyć swój „byronizm" i od poezji egotycznej szedł ku romantycznemu realizmowi. Przykładem tej poezji, najwyższym osiągnięciem całej twórczości Byrona jest „Don Juan". Poemat ten był pomyślany jako „satyra na wady współczesnych wyższych sfer, a nie jako pochwała rozpusty" — jak oceniali dzieło współcześni poecie - krytycy. „Nigdy jeszcze nie zdarzyło się tak godne pogardy sprostytułowanie się talentu" — pisał „British Magazine" o poemacie, który uznany został za genialny przez Goethego i Walter Scotta. Poeta poddał surowej krytyce nie tylko obyczajowość arystokracji, jej moralną obłudę i konwenans, godził nie tylko w poszczególne, specjalnie wrogie mu osobistości, ale rozumiał samą istotę ówczesnego ustroju, opartego na wyzysku mas ludowych i ucisku kolonialnym. Byron demaskował angielską politykę i wskazywał na jej zachłanność. Oto, jak opisuje Byron przybycie swego bohatera do Anglii:

„Wreszcie wynurza się, wznosi
i staje
Niby biały mur. Dziwnego wrażenia
Doznał; zawsze go podróżny
doznaje,
Widząc po raz pierwszy albińskie,
z wapienia
Sciany, coś na kształt dumy, że
w te kraje
Kramarza wpływa, co się
rozprzestrzenia
Po wodach, lądach, myszkuje,
plądruje
I pewnie morze wnet opodatkuje".

(przekład E. Porębowicza)

Napaści na Byrona wzmogły się jeszcze bardziej, gdy w dalszych pieśniach ośmieszał nieudolnego dowódcę wojsk brytyjskich Księcia Wellingtona i króla Jerzego IV, słynnego z wielkiego obżarstwa. W tym samym okresie powstał wiersz „NA KRÓLEWSKĄ WIZYTĘ W GROBOWYCH PODZIEMIACH", w którym poeta kreśli rodowód króla Jerzego IV, traktując go jako kontynuatora zbrodniczej polityki Henryka VIII i Karola I. Nic też dziwnego, że Anglia skazała poetę na bezterminową moralną banicję. I tak w Kaplicy Westminsterskiej spoczywają wszyscy wybitniejsi pisarze angielscy z wyjątkiem największego poety Wielkiej Brytanii, Byrona.

5

Wybucha powstanie w Grecji. Poeta sprzedaje cały swój majątek i wyrusza w pomoc walczącemu narodowi. Przed wyjazdem z Włoch napisał piękny liryk „STANCE". W utworze tym, jak i pisanej w drodze „PODRÓŻY PRZEZ CEPHALONIĘ" poeta nie tylko podaje motywy swojego wyjazdu na teren Grecji, ale i wzywa ludzkość do walki z tyranami, do złożenia ofiary ze swego życia, aby móc zdobyć tytuł „pierwszego rycerza wolności". W Grecji Byron własnym kosztem zaopatruje powstańców w odzież, żywność i środki sanitarne, organizuje poszczególne oddziały i wypłaca żołd z własnych funduszy. Kilkakrotnie zapada na malarię i wyczerpany chorobą, ciężką pracą i licznymi kłopotami umiera w obozie powstańczym w Missolonghi 19 kwietnia 1824 roku.

Poetyckim testamentem Byrona jest jego ostatni, w styczniu napisany wiersz pt. „W TRZYDZIESTĄ SZÓSTĄ ROCZNICĘ MOICH URODZIN". Byron ocenił ten wiersz jako najlepszy ze swych wszystkich utworów. Swiadczy to o tym, że rewolucyjny, postępowy nurt w jego twórczości był mu najbliższy i najwyżej przez samego poetę ceniony. Okoliczności towarzyszące powstaniu tego wiersza opisuje Piotr Gamba w swych „Opowiadaniach o ostatniej podróży Lorda Byrona w Grecji". „Rankiem tego dnia lord Byron przyszedł ze swojej sypialni do apartamentu, gdzie znajdował się pułkownik Stanhope z przyjaciółmi i powiedział z uśmiechem: — *Narzekaliście niegdyś, że przestałem zajmować się poezją. Dziś jest dzień moich urodzin i właśnie skończyłem wiersz, który, jak sądzę, jest lepszy niż te, które zazwyczaj piszę:* — Następnie przeczytał nam te szlachetne i wzruszające strofy, które później zostały znalezione w jego papierach..."

Leszek Herdegen

PRZYPISY DO PRZEŁOŻONYCH WIERSZY

Zamieszczone wiersze Byrona, po raz pierwszy tłumaczone na język polski, wyjęte są z wydania angielskiego: „THE POETICAL WORKS OF LORD BYRON". the only complete and copyright text in one volume, London. John Murray, Albemorle Street 1905"

1. „O d a". Napisana 1812, pierwszy raz drukowana 2.III.1812 w „Morning Chronicle". W wydaniu Murray'a z r. 1905 dwa nazwiska były wykropkowane (zachowana tylko pierwsza i ostatnia litera).

Richard Ryder (1766 — 1832) minister spraw wewnętrznych w latach 1809—1812.

Liverpool — wszechwładny prezes ministrów w latach 1812 — 1827. Był zwolennikiem policyjnego tłumienia buntów.

2. „P i e ś ń d l a t o w a r z y s z y N e d L u d d a". Napisana 24.XII.1816, pierwszy raz drukowana w 1830 r. — „Letters and Journals" Ned Ludd — patrz artykuł (czytaj: Ned Lad).

3. „N a k r ó l e w s k ą w i z y t ę w g r o b o w y c h p o d z i e m i a c h". Dokładna data powstania wiersza nieznana. Drukowany po raz pierwszy w „Poetical Works", Paris, 1819

Henryk VIII — panował od 1509 do 1547 r.

Karol I — panował od 1625 do 1649 r. Fakt, że Karol I był pochowany w tej samej krypcie, co Henryk VIII został odkryty w okresie, kiedy późniejszy król Jerzy IV (1820 — 1830) eszcze jako Książę Regent budował sobie mauzoleum. W czasie tych prac osobiście dozorował otwarcia trumny z napisem „Król Karol I".

4. „S t a n c e". Napisane 5.XI.1820, publikowane po raz pierwszy w „Journals and Letters" — 1830.

5. „P o d r ó ż p r z e z C e p h a l o n i ę". Pisane 19 VI 1823, drukowane pierwszy raz „Letters" 1901

Cephalonia — wyspa na Morzu Egejskim w pobliżu Itaki.

6. „W t r z y d z i e s t ą s z ó s t ą r o c z n i c ę m o i c h u r o d z i n". Napisane w Missolonghi 22 I. 1824, publikowane „Morning Chronicle" 29.X.1824.

L. H.

HENRYK KATZ

NA SZLAKU ZDRADY

Prawicowi socjaliści stoczyli się już dziś wyraźnie i bez obsłonek na pozycje wiernych sług imperializmu i jego agentów.

Proponowane przez nich teorie „trzeciej siły", „rewolucji pokojowej", „planowania wewnątrz-europejskiego pod egidą Stanów Zjednoczonych" itp., stanowią dziś ideologiczną osłonę agresji imperializmu anglo-amerykańskiego i są wyrazem jawnej zdrady interesów klasy robotniczej, międzynarodowej solidarności proletariatu i pokoju, są dowodem uległości wobec władzy międzynarodowych trustów, syndykatów i karteli. Wyrazem tej uległości jest powstrzymywanie klasy robotniczej od walki rewolucyjnej, popieranie imperialistycznej ekspansji kapitału amerykańskiego w Europie, Azji, Afryce, Australii, czynna pomoc agresorom amerykańskim na Korei, tłumienie wyzwoleńczej walki narodów uciemiężonych i kolonialnych, dążenie do remilitaryzacji Niemiec Zachodnich i Japonii, prześladowanie ruchu obrońców pokoju, prowadzenie szpiegowskiej i dywersyjnej działalności w krajach demokracji ludowej.

Bezlitosne demaskowanie całej polityki i ideologii prawicowych socjalistów — tych najgorszych wrogów klasy robotniczej i socjalizmu jest nieodzownym warunkiem walki o pokój, demokrację i socjalizm.

Kierowniczą rolę w tym obozie prawicowych socjalistów, ziejących nienawiścią do ZSRR i krajów demokracji ludowej odgrywa angielska Partia Pracy (Labour Party) i jej reakcyjne kierownictwo.

Od 1945 r. rządzi ona Anglią wbrew interesom jej klasy robotniczej, wbrew interesom narodu angielskiego, a zgodnie z interesami anglo - amerykańskich potentatów finansowych.

Korzenie tej zdrady sięgają daleko w przeszłość... (red),

25 *LAT temu rozegrała się jedna z najpotężniejszych bitew klasowych międzywojennego dwudziestolecia w świecie kapitalistycznym — strajk generalny całej klasy robotniczej Wielkiej Brytanii w obronie walczących górników. Bitwa ta była tym znamienniejsza, że miała miejsce w okresie tzw. „prosperity" i pozornej stabilizacji kapitalizmu (lata 1924 — 1929); tym też znamienniejsza, że jej bohaterami byli robotnicy kraju przodującego w XVIII i XIX stuleciu w rozwoju przemysłowym, kraju, w którym kapitalizm święcił swoje największe triumfy.*

WALKA GÓRNIKÓW ZDRADA LEADERÓW

Najbardziej radykalnym i bojowym hufcem proletariatu byli górnicy angielscy, mający za sobą zwyż stuletnią tradycję walki i zorganizowani w silnej Federacji Górników. Właściciele kopalń, tej najbardziej zaniedbanej i technicznie zacofanej gałęzi gospodarstwa angielskiego, pozostawali stale to w otwartej, to utajonej walce ze swymi robotnikami. Nie umiejąc skutecznie konkurować na rynkach zagranicznych, nie starając się o odnowienie swego aparatu produkcyjnego i tą drogą podniesienia wydajności pracy i obniżenia kosztów, starali się rozwiązać swe trudności przez postępowe obniżenie płac i pogarszanie warunków pracy górników. W latach 1900 — 1914 wzrasta natężenie walk strajkowych górników w całej W. Brytanii, a w szczególności w Południowej Walii. Walka górników była najczęściej punktem wyjścia wielkich akcji klasy robotniczej w skali ogólno - krajowej. W roku 1914 doszło do „Trójprzymierza" na zasadzie wzajemnej pomocy trzech największych związków zawodowych: górników, kolejarzy i robotników transportowych.

Proces ten przerywa na krótko wojna. Po wojnie, w roku 1921, właściciele kopalń przystępują do ataku na płace i warunki pracy górników. Za odmową przyjęcia obniżki płac, właściciele kopalń ogłaszają lokaut. Robotnicy mają w swym ręku potężną broń — trójprzymierze. Strajk solidarnościowy kolejarzy i transportowców mógłby zmusić właścicieli kopalń do kapitulacji. Komitet „Trójprzymierza" wyznaczył na dzień 15 kwietnia strajk ogólno-krajowy. Członkami tego komitetu byli: Frank Hodges, J. H. Thomas, R. Williams i Ernest Bevin. Ci to wodzowie potężnych związków zawodowych, którzy płacili sobie sute pensje i obrośli w piórka dobrobytu, nie obawiali się niczego tak, jak prawdziwej walki robotniczej. Przed 15-tym kwietnia pracują gorączkowo nad doprowadzeniem do kompromisu lub nawet do kapitulacji robotników, byle dobrze upozorowanej. Frank Hodges (czytaj Hodżes) przywódca górników samowolnie ustala warunki kompromisu tak niekorzystnego, że masa związkowa odrzuca je bez wahania. Wówczas to „Komitet" odwołuje strajk solidarnościowy pod pretekstem, że górnicy są fanatyczni, kapryśni, niemądrzy, że narażają na szwank całą klasę robotniczą.

Piątek, 15-go kwietnia 1921 roku, dzień zdrady, przeszedł do historii jako „czarny piątek" (Black Friday). Górnicy przegrali, a płace ich zostały obniżone o osiem szylingów tygodniowo. W parę lat później „czarnopiątkowcy" zaradzili otwarcie klasę robotnicą. Hodges został dyrektorem Banku Angielskiego, a Thomas ministrem w gabinecie „jedności narodowej" judasza — Mac Donalda (r. 1931) W ramionach reakcji wylądował też Williams. Z tego dobranego towarzystwa pozostał w ruchu robotniczym, by mu nadal patronować, Ernest Bevin. Bogata kariera życiowa wyniosła go w r. 1945 na pozycję ministra spraw zagranicznych w labourzystowskim rządzie Jego Królewskiej Mości, oraz rzecznika wojny, przeciw krajom socjalizmu i demokracji ludowej. Z jego postacią zetkniemy się jeszcze w wydarzeniach 1926 roku.

OD „CZARNEGO" DO „CZERWONEGO PIĄTKU"

W roku 1924 do władzy dochodzi pierwszy rząd Partii Pracy, lecz wkrótce upada. Po jego klęsce kapitaliści ponawiają swój atak na górników. Wymawiają istniejący układ z dniem 3 lipca 1925 r. Górnicy odrzucają żądania właścicieli kopalń. Nauczeni doświadczeniem sposobią się do walki. Tym razem na czele górników stoi A. J. Cook (czytaj Kuk) szczery bojownik robotniczy i wspaniały mówca. Nie będąc członkiem partii komunistycznej otwarcie uznaje siebie „uczniem Lenina". W latach wojny i powojennego kryzysu wykuwała się coraz bardziej solidarność w walce proletariatu, pogłębiała się świadomość klasowa. Robotnicy walczyli przeciw wojnie imperialistycznej, a następnie przeciw interwencji i w obronie młodych republik radzieckich. Burzliwe były boje ekonomiczne i polityczne przeciw rządzącej magnaterii arystokratyczno- plutokratycznej.

W Radzie Generalnej Związków Zawodowych zasiadało kilku szczerych, choć niezawsze konsekwentnych przywódców robotniczych z Bramley'em na czele. Rada Generalna ustanowiła Specjalny Komitet dla zorganizowania współpracy z górnikami. Sprawa przybiera charakter ogólnopolityczny. Stają przeciw sobie wyraźnie dwie klasy, dwa obozy: kapitaliści i ich rząd broniący interesów właścicieli kopalń (lordów górniczych) oraz proletariat i jego organizacje walczące o prawa i interesy górników.

Kapitaliści zaskoczeni solidarnością klasy robotniczej i nie czując się zupełnie przygotowani do walki wycofują się. Rząd konserwatywny ogłasza, że będzie przez 9 miesięcy subsydiował płace dla górników. Równocześnie zostaje utworzona Komisja Królewska z Herbertem Samuelem na czele dla zbadania sytuacji.

Piątek 30-go lipca 1925 roku, był dla górników częściowym odwetem za kwiecień 1921 roku. Był to „czerwony piątek" zwycięstwa solidarności klasy robotniczej.

PRZYGOTOWANIA DO WALNEJ ROZPRAWY—„ACTION"

Ten sukces był jednak tylko czasowy. Dopiero później robotnicy angielscy zrozumieli, że rządowi chodziło jedynie o zyskanie czasu, o przygotowanie się do generalnej rozprawy z klasą robotniczą i z jej czołowym hufcem, jaki stanowił górnicy.

Na czele rządu stał Baldwin, przedstawiciel najbardziej drapieżnych elementów spośród rządzącej finansiery. Spiritus movens akcji był jednak Winston Churchill, który jeszcze w latach 1918 — 1920 organizował wojnę interwencyjną przeciw krajowi rewolucji socjalistycznej, a w chwili obecnej stoi w przednim szeregu międzynarodowej mafii podżegaczy wojennych. Baldwin i Churchill stworzyli specjalną „Organizację Dostaw", nagromadzili olbrzymie rezerwy węgla oraz zorganizowali hufce łamistrajków. Mianowano dziesięciu komisarzy ministerialnych z pełnomocnictwami dla poszczególnych okręgów kraju. Byli generałowie i admirałowie opracowali specjalny plan strategiczny. Rozprawa z klasą robotniczą miała się rozpocząć na hasło „Action!"

NOWY DUCH W KLASIE ROBOTNICZEJ

W roku 1925 w angielskim ruchu robotniczym zachodzi potężny zwrot na lewo, nowy duch ogarnia masy i aktywistów proletariatu. Pierwszy rząd Partii Pracy w r. 1924 skompromitował się w oczach mas swym oportunizmem. Burżuazja wygrała wybory, posługując się sfałszowanym prowokacyjnie rzekomym „listem" Międzynarodówki Komunistycznej o organizacji, roboty wywrotowej" w Wielkiej Brytanii. Nowe doświadczenia pogłębiły świadomość klasową proletariatu. Wśród mas robotniczych rosną sympatie i zrozumienie dla Związku Radzieckiego. Na sile przybiera tzw. „Ruch mniejszości", ruch lewicy związkowej, na czele którego stoją stary weteran ruchu robotniczego Tom Mann oraz młody, lecz już zahartowany w walce Harry Pollit.

W kwietniu 1925 dochodzi do konferencji angielskich i radzieckich związków zawodowych w Londynie. Jej wynikiem jest utworzenie Anglo-Rosyjskiego Komitetu Jedności. Ze Związku z budującymi socjalizm robotnikami Kraju Rad czerpią robotnicy angielscy nowe siły. Proletariat dojrzewa ideologicznie, podnosi się jego morale i zapał do walki.

We wrześniu tego roku zbiera się kongres związków zawodowych. Nastrój panuje bojowy. Trzy miliony głosów pada za rezolucją, głoszącą rewolucyjną walkę z imperializmem. Tylko 79.000 głosów wypowiada się przeciw tej rezolucji. Delegaci wypowiadają się za obaleniem kapitalizmu, za jednością z radzieckimi związkami zawodowymi. Ale czujność robotników zawiodła, gdy doszło do nowej Rady Generalnej. Przedostają się do niej dwaj bohaterowie „Czarnego piątku": J. Thomas i dobrze nam znany — Ernest Bevin. Po śmierci Bramleya wchodzi w skład Rady również W. M. Citrine, który za swe długoletnie zasługi dla angielskich lordów i plutokratów otrzymał rycerski tytuł „sir", a później osiągnął nawet tytuł lordowski.

*U władzy znajduje się z powrotem klika oportunistycznych bonzów, która — jak powiada historyk angielskiego ruchu związkowego Allen Hutt — „przeszła w 1914 r. przez historyczny punkt zwrotny, jakim była fuzja związków zawodowych i machiny państwowej. Odtąd nie wolno jej było zboczyć z drogi przystosowania się do władzy monopolistycznego kapitału i współpracy z nim" *).*

BURŻUAZJA GOTUJE SIĘ DO ROZPRAWY

Burżuazja angielska i jej rząd wykorzystali 9-miesięczny okres dla intensywnych przygotowań, czego nie uczyniła Rada Generalna związków zawodowych. By pozbawić masy bojowego dowództwa, aresztowano 12 przywódców partii komunistycznej: Pollita, Gallachera (długoletniego posła komunistycznego), Rusta, niedawno zmarłego redaktora „Daily Workera") i innych. Urządzono jeden z popularnych w krajach imperializmu „procesów czarownic". Oskarżeni popełnili tę „zbrodnię", że „publikowali pisma pana (Mister) Lenina". Siedmiu oskarżonych skazano na 6-miesięczne więzienie, a innych na rok więzienia. Burżuazja marzy o uwięzieniu w murach cel wraz z ludźmi idei, której zwycięstwo historyczne jest nieubłagalne.

W marcu „liberał" Sir H. Samuel ogłasza swój Raport. Zaleca on m. in. obniżkę płac. Górnicy obstają przy swym bojowym haśle: „Nota penny of the pay, nota second on the day" (ani jednego pensa z płacy, ani sekundy do dnia pracy). Przywódcy Rady Generalnej chcą skłonić górników do przyjęcia obniżki lub bodaj do dyskusji nad kompromisem. Ale nastroje całej klasy robotniczej są bojowe, jej solidarność z górnikami przybiera charakter żywiołowych manifestacji. Wodzowie Rady Generalnej pokładają swe nadzieje w jakimś kompromisowym geście rządu. Jednak Baldwin, Churchill, oraz ich przyjaciele i mocodawcy rwą się do otwartej rozprawy z robotnikami. Mają świetnie opracowane plany strategiczne, są przygotowani i wiedzą, że w tchórzliwych i zdradzieckich przywódcach po drugiej stronie mają swoich sprzymierzeńców.

OPÓR KLASY ROBOTNICZEJ

W piątek, dnia 30 kwietnia 1926 r. kopalnie ogłaszają lokaut górników. W sobotę, 1-go maja, zbierają się przedstawiciele związków zawodowych i debatują nad sprawą ogłoszenia strajku powszechnego. 3.654.000 wypowiada się za strajkiem, tylko 50.000 przeciw.

Z oczu prawicowych bonzów płyną krokodyle łzy udanej radości. Śpiewają wraz z delegatami „Czerwony sztandar" (Red Flag). Arcyobłudnik Bevin wyraża swą dumę z tego, „wspaniałego pokolenia" robotniczego, które „poświęciło wszystko na ołtarzu"! Robotnicy doskonale rozumieli, że tu nie chodzi tylko o górników. Oto jak Stalin przedstawia rolę odegraną przez kapitał angielski.

„Faktu, że obiektem głównego uderzenia stali się w tym wypadku górnicy, nie podobna nazwać przypadkiem. Kapitał angielski zaatakował górników nie tylko dlatego, że przemysł węglowy jest kiepsko wyposażony technicznie i wymaga „racjonalizacji", ale przede wszystkim dlatego, że górnicy byli zawsze i pozostają dotychczas czołowym oddziałem angielskiego proletariatu. Okiełzać ten czołowy oddział, obniżyć płacę roboczą, przedłużyć dzień roboczy, aby rozprawiwszy się z tym głównym oddziałem, rozciągnąć akcję na inne oddziały klasy robotniczej — oto, na czym polegała strategia kapitału angielskiego" [2])

c. d. n.

Henryk Katz

---

[1]) Allen Hutt: „British Trade Unionism", Lawrence and Wishart, London, 1941, str. 113.

[2]) J. W. Stalin: „O strajku angielskim i wydarzeniach w Polsce". Referat wygłoszony na zebraniu robotników głównych warsztatów kolejowych w Tyflisie, 8 czerwca 1926 r. Dzieła, tom VIII „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950, str. 166.

ILJA ERENBURG

PAKT POKOJU

Grupka chciwych i szalonych geszefciarzy, którzy widzą swoje ocalenie i wzbogacenie się w wojnie, nie wyrzekła się swoich straszliwych zamiarów. Ani gorzkie doświadczenia wojny w Korei, ani przebudzenie narodów Azji, ani rosnący protest prostych ludzi wszystkich części świata nie przywiodły do opamiętania tych niebezpiecznych szaleńców. Udaje im się jeszcze utrzymywać w nieświadomości setki milionów ludzi. Lasy kanadyjskie i skandynawskie, szlachetne, zielone lasy zamieniają się w celulozę, z której robi się kurtynę odgradzającą przeciętnego czytelnika gazet od istotnej prawdy życia. W taki sposób tworzy się piśmiennych nieuków, ślepych czytelników, ludzi, którzy gotowi są wierzyć w każde oszczerstwo byle gazetki dlatego, że chociaż nauczono ich odróżniać jedną literę od drugiej, nie nauczono odróżniać prawdy od kłamstwa.

Cały świat odetchnął z ulgą dowiedziawszy się o rozpoczęciu pertraktacji pokojowych w Korei. Politycy amerykańscy nie odważyli się nie przyjąć pertraktacji: bali się nie tylko gniewu narodu koreańskiego, znajdującego się tak daleko od Washingtonu i nie mogącego żądać odwetu od Białego Domu, bali się amerykańskich matek. Mimo to ich gazety pisały, że pertraktacje są szkodliwe, że przeszkadzają w przygotowaniach do ogólnej wojny, że akcje na giełdzie spadają i że „bissenes" na nich cierpi. Uczynili wszystko, aby zerwać pertraktacje. Z gorączkowym pośpiechem zaczęli zabijać Koreańczyków, ale ponieważ zabić koreańskiego żołnierza nie jest tak łatwo, postanowili zabić jak najwięcej koreańskich kobiet, dzieci i starców. Oświadczali z dumą, że od początku wojny ani razu nie bombardowali z taką zawziętością Phenianu i innych miast koreańskich, jak po rozpoczęciu pertraktacji. I mało tego: postanowili przerwać pertraktacje, nie przerywając ich oficjalnie, poprawić kurs akcji wojennych, a zarazem oczyścić się wobec matek amerykańskich. Jak tego dokonać, zapytał jeden morderca drugiego, a ten odpowiedział: bardzo prosto, trzeba tylko zrzucić bombę na delegację koreańską — z trupami nie będziemy musieli rozmawiać...

Amerykańscy szaleńcy wyciągają rękę nie tylko po północną Koreę, ale także po wielkie Chiny z ich nieprzeliczoną ludnością, z ich starożytną i bogatą kulturą, o której nawet nie mogą mieć wyobrażenia nieuki z Oklahomy. Kiedy amerykańscy kongresmani osądzali generała Mac Arthura, winny, czy niewinny, dyskutowali nie to, czy lepsza jest wojna czy pokój, ale, gdzie lepiej zacząć wojnę — w Europie, czy w Azji.

Budują coraz nowe bazy wojenne. Piękne kraje Europy pełne wielkich dzieł sztuki, słusznie szczycące się swoją przeszłością, zmieniają się w koszary dla łobuzów z Missisipi, w arsenały bomb atomowych, w lotniska dla gwiaździstych sępów... W ciągu ostatnich zaledwie miesięcy żołnierze Stanów Zjednoczonych okupowali Livorno, Bordeaux, Poitier i dziesiątki innych miast francuskich i włoskich.

W Niemczech zachodnich przed kilkoma tygodniami generał Manton Adde wygłosił przemówienie, w którym znajdowały się takie słowa: „Żołnierze muszą być przygotowani do wojny w każdej chwili... Kilka najbliższych miesięcy powinno być decydującymi. Powinniśmy osiągnąć taki stopień gotowości, aby móc odeprzeć milionowe natarcie." Amerykanie pośpiesznie zbroją esesowców, gestapowców, palaczy Majdanka i Oświęcimia, łotrów, którzy krwią zalali Europę. Otwierają się bramy więzień przed przestępcami wojennymi, prosto z cel kroczą oni na kierownicze stanowiska do trustów, do sztabów generalnych, do ministerstw. Każdego dnia odbywa się to zjazd „Zielonych Diabłów", to zebranie „Korpusu Afrykańskiego", to znowu zlot esesowców z dywizji „Wielkie Niemcy". Ci którzy walczyli z faszyzmem, którzy stracili w walkach o wolność swoich bliskich i przyjaciół patrzą z lękiem, jak ożywa krwawy wilkołak, jak w samym sercu Europy tworzy się armia najemnych morderców.

Odrywają ludzi od pracy pokojowej w imię przyszłej wojny.

Rosną wydatki na uzbrojenie. Nie ma pieniędzy ani na szkoły, ani na szpitale, ani na drogi, pieniądze pożera jakaś łódź podwodna z napędem atomowym albo broń dla zwykłych tureckich rozbójników. Rośnie nędza, a dzieci, którym jutro obiecuje się śmierć od bomb, umierają dziś z głodu, dlatego, że w krajach które szczycą się udoskonalonymi narzędziami śmierci brak zwykłego chleba dla zwykłych dzieci.

Postawili na równe nogi nienawiść, uzbroili wściekłość, zmobilizowali szaleństwo. W organie armii holenderskiej jeden z wojowniczych wariatów niejaki Heinsius bredzi w zachwycie o śmierci: „dzięki badaniom naukowym w biologii nikt nie może zaprzeczyć, że istnieje możliwość iż w przyszłości cały kontynent wymrze z głodu... drogą zatrucia całej gleby można osiągnąć uśmiercenie całego narodu."

Gdy armia radziecka przy poparciu wszystkich uczciwych ludzi w Anglii i Ameryce, przy pomocy partyzantów europejskich obaliła nienawistny dla ludzkości faszyzm, mówiono: „to się nigdy nie powtórzy". Wierzono, że Organizacja Narodów Zjednoczonych powstała dzięki bohaterstwu narodów z woli przyjaźni i pokoju, nie dopuści do nowej wojny. Mimo to Organizacja Narodów Zjednoczonych okazała się bezradna wobec woli grupki ludzi rozporządzających dolarami ala przynęty i uranem na postrach. Organizacja ta mieszcząca się na przedmieściu amerykańskiego miasta przekształciła się w doczepkę do departamentu amerykańskiego. Amerykanie wydają komendę: „Ognia!", a wystraszeni dyplomaci z ONZ ukrywają usłużnie pod swoją flagą amerykańskie baterie. Wystarczy wspomnieć, że rząd amerykański nie dopuścił na swoje terytorium przedstawicieli Światowej Rady Pokoju, którzy powinni byli przekazać członkom ONZ wolę narodów. Kto odpowiedział przewodniczącemu Światowej Rady Pokoju Fryderykowi Joliot-Curie, broniąc przy tym postępowania policji amerykańskiej? Pan Osten. Cóż za wspaniały transformator: wczoraj odmówił wiz delegacji Światowej Rady Pokoju, a dzisiaj siedząc w ONZ oklaskuje sam siebie.

Dlaczego panowie ci zlękli się oddać głos delegacji Światowej Rady Pokoju? Mają przecież zabezpieczoną większość — Ekwador, San Salvador, Honduras nic nie tracą na tym, że przyjmie przez głosowanie rezolucję, stwierdzającą, że Chiny nie istnieją na świecie. Ale nawet politycy amerykańscy znają rzeczywistą cenę takiej większości. Wiedzą oni także, że jest inna większość o ile poważniejsza: większość ludzkości. Większość ta do niedawna jeszcze pozbawiona możliwości jednoczenia i wtrącania się do zbójeckiej rozmowy grupki gangsterów zaczyna się jednoczyć, przemawiać. Możemy bez zbytniego optymizmu stwierdzić, że jak szybko nie postępowałyby przygotowania wojenne, to jeszcze szybciej rośnie ruch w obronie pokoju.

We wszystkich krajach, gdzie sprawują wyroki amerykańscy naczelnicy policji, prześladuje się zwolenników pokoju, zamyka się im usta, wsadza do więzień, zabija. „Mówił, że potrzeba nam pokoju" — tak sędzia w mieście Oxford w stanie Missisipi sformułował przestępstwo niejakiego Paula Smitha. Przepełnione są więzienia w Japonii, Indonezji, Brazylii i wielu innych krajach. Leje się krew to w Iranie, to w Iraku to w Pakistanie. Wszyscy widzieli jak stronnictwo pana Morrisona wychwalające wolność jako produkt eksportu udaremniło kongres zwolenników pokoju w Sheffield. Bojąc się propagandy pokoju stronnictwo wojny zaczyna spiesznie zapewniać, że jest także zwolennikiem pokoju. Chce ono przykryć bomby gałązkami oliwnymi i przedstawić „latające twierdze" siejące śmierć jako niewinne gołębie.

Znamy rezolucję amerykańskiego kongresu, rojącą się od pięknych słów o miłości do narodu radzieckiego o przyjaźni i pokoju. Wiemy także, że głowny autor tej rezolucji senator Mac Mahon, gdy przemawiał nie na eksport, a na rynek wewnętrzny powiedział: „Jeśli zajdzie potrzeba użycia bomby atomowej w Europie, nie wątpię, że prezydent Truman wyda rozkaz przeprowadzenia stosownych bombardowań". Umieją ładnie gruchać, ale zapominają, że ludzie mają pamięć — ludzie pamiętają, że ci, którzy zwykli gruchać w gościnie, we własnym domu szczerze i otwarcie ryczą.

Ludzie, gdziekolwiek żyją, zaczynają odróżniać zwolenników pokoju od zwolenników wojny, epoka maskarady zbliża się ku końcowi. Po raz pierwszy ci, którzy nie zasiadają w parlamentach, nie są posiadaczami gazet, nie znają drogi do mikrofonów, przemówili pokrywając setkami milionów podpisów Apel Sztokholmski. Z początku politycy amerykańscy patrzyli ironicznie na dziwaków, którzy myślą, że można pociągnięciem pióra zatrzymać maszynę wojenną. Prędko zrozumieli, że śmieli się zbyt wcześnie. Ludzkość wypowiedziała swoje słowo, bandyci, którzy przez pięć lat z rzędu potrząsali bombą atomową, musieli ją tymczasem schować.

Z początku tego roku Światowa Rada Pokoju zwróciła się do wszystkich ludzi dobrej woli z wezwaniem złożenia podpisów pod dokumentem, który moze odegrać decydującą rolę w historii ludzkości, pod żądaniem zawarcia Paktu Pokoju. Apel, który podpisały już setki milionów ludzi, który podpiszą jutro następne seki milionów jest do przyjęcia dla wszystkich tych, którzy nie chcą wojny. Apel ten jest nie do przyjęcia tylko dla bandytów umiejących zamieniać krew na dolary. Apel dotyczył zagadnienia niezwykle ważnego, ale zagadnienia jednego tylko: żądał zakazu użycia broni atomowej. Amerykanie i ich sługusy mówili wówczas, że apel ten jest stronniczy, że zakaz broni atomowej jest wygodny dla Związku Radzieckiego ale nie dla Ameryki. Oczywiście był to fałsz: zakaz broni atomowej to ocalenie dla wszystkich ludzi, w tej liczbie także dla Amerykanów, niewygodny jest tylko dla grupki łajdaków. Apel w sprawie Paktu Pokoju nie może być oceniany nawet przez fałszerzy jako stronniczy: proponuje on zebranie przedstawicieli pięciu mocarstw dla pokojowego rozstrzygnięcia panujących między nimi konfliktów. Apel ten żąda jednego: pokoju. Skierowana jest przeciwko jednemu: przeciwko wojnie.

Naród radziecki zna wojnę i nienawidzi jej. W latach groźnych prób dowiódł on, że żadna siła nie zdoła go ugiąć. Zwyciężył w wojnie, a zwyciężywszy w wojnie, pragnie zwyciężyć wojnę. Pragnie, aby jego domy nie stały się celem dla bomb, aby jego dzieci nie musiały znowu iść w boj. Pragnie pokoju dla swoich fabryk i pól, uniwersytetów i ogrodów. Naród radziecki wierzy w przyszłość, nie potrzebuje on umacniać swoich niezwyciężonych idei śmiercionośną bronią. Siła i umiłowanie pokoju Stalina, siła i umiłowania pokoju każdego radzieckiego mężczyzny, każdej radzieckiej kobiety pomogą ludzkości ocalić pokój. Z nadzieją spoglądają na nasz naród ludzie całego świata — nie tylko obywatele wielkich Chin, bohaterskiej Korei, krajów demokracji ludowej, nie tylko zwolennicy wolności i braterstwa na Zachodzie, nie tylko mieszkańcy krajów uciskanych, ale nawet ludzie nam niechętni, którzy odrzucają nasze ideje, ale którzy wiedzą, że nasza siła i nasze umiłowanie pokoju uchroniły ich od potworności nowej wojny.

Nie dawno przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR M. Szwernik w odpowiedzi udzielonej prezydentowi Trumanowi wyraził wolę pokoju radzieckiego parlamentu. Zaproponował on prezydentowi Stanów Zjednoczonych słuszną drogę pokoju: porozumienie pięciu mocarstw. Prezydent Truman odpowiedział na te podyktowane umiłowaniem pokoju słowa orędziem do kongresu amerykańskiego, w którym proponuje wzmóc zbrojenia amerykańskie, czyli uczynić jeszcze jeden krok w kierunku fatalnego rozwiązania. Dialog jednak nie został ukończony: włączają się do niego setki milionów ludzi. Wśród nich Amerykanie, Anglicy i Francuzi żądają zawarcia paktu pokoju.

Dawno minęły czasy, gdy w imieniu ludzi decydowali jacyś tam półbogowie, imperatorzy, prezydenci albo po prostu bandyci. Historię tworzą prości ludzie.

Pamiętamy słowa Stalina: „pokój zostanie zachowany i utrwalony, jeśli narody ujmą w swoje ręce sprawę zachowania pokoju i będą bronić jej do końca". Wraz ze wszystkimi miłującymi pokój narodami będziemy bronić do końca sprawy pokoju i zmusimy do wycofania się podżegaczy wojennych. Każdy podpis pod apelem o pakcie pokoju — to rękojmia zwycięstwa życia

Ilja Erenburg

MICHAŁ SZOŁOCHOW

* * *

W naszym wielkim kraju socjalizmu powstają potężniejsze od wszystkiego, co znała historia świata, budowy wznoszone pracowitymi rękami pracujących dla swego dobra.

Widzieliśmy także straszne nieszczęścia, jakie niosła pustosząca ziemię wojna widzieliśmy nasz ukochany kraj zalany krwią naszych bliskich... poznaliśmy także cały ciężar pracy twórczej spadający na barki tych, którzy odbudowują i tworzą. Z całego serca, kochającego wszystko, co żyje na ziemi, z całej duszy zwracamy się do wszystkich uczciwych ludzi świata: powiedźcie wojnie wasze zdecydowane „nie!". Wezwijcie narody do walki o pokój!

Ludzkość pracująca patrzy na to, co dzieje się teraz w Korei nie oczyma przesłoniętymi łzawą mgiełką bezradnego współczucia ale oczyma pełnymi gniewnej i nieugiętej woli protestu, nienawiści i pogardy dla tych, którzy dokonują ponurych czynów, zabijając bezbronne kobiety, dzieci i starców.

Pora wreszcie raz na zawsze zerwać z tym, co jest straszliwym wstydem ludzkości — z barbarzyńskim bombardowaniem wsi i miast, z masową zagładą niewinnych ludzi.

Sumienie ludzkie protestuje przeciwko temu, co wyrabiają anglo-amerykańscy najeźdzcy prowadząc rozbój pod flagami Narodów Zjednoczonych w kraju, który zawsze był bliski i miły narodom całego świata jako kraj „orzeźwiającego świtu".

Niszczącą wojnę niosą ludzkości ci, którzy dawno przestali być ludźmi! Ale wszystko, co rozumne, wszystko, co uczciwe, namiętnie protestuje przeciwko wyrzutkom ludzkości.

Ten, kto pracą zdobywa chleb, jest przeciwko wojnie! Dlatego właśnie my, ludzie radzieccy żądamy zawarcia Paktu Pokoju między pięcioma mocarstwami, dlatego właśnie popieramy nasz rząd, który potężnym głosem przemówił w obronie pokoju, żądając zawarcia Paktu Pokoju.

Nie! Armie imperialistycznych najemników nie powinny pozbawiać życia, tych którzy spokojnie pracują i witają wschód słońca ciesząc się z „orzeźwiającego świtu". Niech nad ziemią śpiewają syreny fabryczne, niech wraz z dymami rwą się gwizdki parowozów, niech maszyny pracujące dla dobra ludzkości maszerują przez bezgraniczne przestrzenie ziemi należącej do tych, którzy przelewali na jej kochające łono swój pot, krew i łzy.

W imieniu wielkiego narodu radzieckiego wypowiemy serdeczne i nieugięte słowo o woli pokoju. Mężnymi sercami, zahartowanymi w wielkiej walce za dzieło Lenina-Stalina, za dzieło pracującej ludzkości, gorąco pragniemy pokoju.

Wraz ze wszystkimi narodami świata dojdziemy do niego.

HENRYK BEREZA

W POSZUKIWANIU PRAWDY O LUDZIACH WIELKICH I MAŁYCH

Stanisław Wygodzki

„Opowiadanie buchaltera"*) to zbiór suchych, mało zinterpretowanych dokumentów, jakże wymownie ilustrujących przemiany, dokonywające się w jednym socjalistycznym przedsiębiorstwie, w hucie bieli cynkowej w Będzinie. Buchalter Maciejewski z zawodową dokładnością opowiada Wygodzkiemu o trudnościach, jakie zostały pokonane, faktami udowadnia, że czasy kapitalizmu, a dzisiejsza proletariacka rzeczywistość, to przysłowiowe niebo a ziemia. Protokóły zebrań przedwojennych dyrektorów hut bieli cynkowej dawały gwarancję „pełnego obiektywizmu", a jakże jaskrawo pokazywały podłość, nikczemność i zwyrodnienie potentatów, posiadających w swym ręku owoce pracy, a nawet życie setek ludzi. Dochody fabrykantów, akcjonariuszy i dyrektorów setki razy przewyższały dochody robotnika. Dokumenty miały przejmującą wymowę. Wygodzkiemu nasunęła się wtedy literacka dygresja.

„Przebiegłem myślą wszystko to, co czytałem w ostatnich latach i nie bardzo mogłem znaleźć książkę czy opowiadanie, które by na tej płaszczyźnie, na płaszczyźnie porównawczej potraktowało wyższość nowych ludzi nad tamtymi. Mówimy — i słusznie — o wyższości naszego ustroju, ale czy pokazaliśmy już wyższość naszych ludzi? Pomyślałem natężenie, czy istotnie nie należy zająć się trochę tą sprawą, mimo że nie leży ona na głównej trasie moich zainteresowań. Powoli sięgnąłem po plik papierów podsuniętych mi przez Maciejewskiego. Wertując je miałem świeżo w pamięci naszych nowych ludzi na kierowniczych stanowiskach, jakże żałowałem, że nie mogłem być w pobliżu Pawła Chowańca, Józefa Chmiela, Jerzego Krasnowieckiego, o których towarzysz Bierut mówił zaledwie kilka dni temu na czwartym plenum! Pokazać tych ludzi i pokazać tamtych z imienia i nazwiska, postawić ich tak naprzeciw siebie, żeby nasi obecni dyrektorzy mogli spojrzeć w nicość tamtych, w nicość, która stawała się potęgą, gdy chodziło o wyzysk, o rozbój o poniewieranie klasy robotniczej".

Myślę, że powyższe wyznanie Wygodzkiego wbrew autorskiej przekorze, że inna jest „główna trasa jego zainteresowań", stanowi niezawodny klucz do zrozumienia ideowej zawartości jego prozy, do uchwycenia istoty jego twórczych aspiracji, do wydania wartościującego sądu o jego dotychczasowych osiągnięciach.

Obozowe, wyrosłe z przeżytych form literackich gawędziarskie opowiadania ze zbiorku „W kotlinie" (1949) wydają się być szczególnie odległe od wyżej zarysowanej problematyki. W opowiadaniach tych widnieje zbyt wyraźny ślad maniery psychologizmu, wiele w nich subtelności bardzo pokrewnych „Jezioru Bodeńskiemu", a jednak? Opowiadania Wygodzkiego nie mają nic wspólnego z obozową beznadziejnością, pesymizmem, inteligenckim mazgajstwem. Jest w nich natomiast aprobata dla człowieka walczącego z faszyzmem, jest w nich wyraźna dążność do klasowego widzenia świata. Szczególnie cenne jest opowiadanie „Stopnie nienawiści", w którym Wygodzki pokusił się o klasową analizę problemu żydowskiego. Linia podziału klasowego wśród Żydów przebiega tak samo jak wśród innych narodów. Żydowscy właściciele fabryk w Niemczech i Anglii łatwiej się mogli pogodzić ze stratą swych braci w Treblince niż z nacjonalizacją fabryk w NRD. Kapitaliści wszelkich nacji są jednakowo cyniczni, jednakowo krótkowzroczni i jednakowo pełni nienawiści w stosunku do człowieka pracy.

W tomiku „Widzenie" (1950) zrobił Wygodzki już nie przysłowiowy krok ale skok naprzód. Opowiadania Wygodzkiego pokazują człowieka walczącego z kapitalistycznym uciskiem, pokazują narastanie świadomości klasowej, demonstrują, co znaczy godność człowieka komunisty. Wygodzki skoncentrował się na problemie wartości moralnej człowieka partii, przeciwstawił szalbierstwu burżuazji chwiejność takich, którzy „aby żyć" gotowi pójść na wszelki kompromis, nieugiętą postawę tych najlepszych w szeregach polskiego proletariatu, którzy od SDKPiL do PZPR trwali nieugięcie na pozycjach walki z wyzyskiem, z ugodowością, z brakiem moralnego kręgosłupa. Matka z opowiadania tytułowego „Widzenie", to symbol nowych socjalistycznych wartości moralnych. Burżuazyjna, a zwłaszcza imperialistyczna filozofia, dekadencka literatura, absolutyzując rolę instynktów, skłonności podświadomości, grzebała podstawy wszelkiej moralności ludzkiej, rozgrzeszała wszelką podłość, unicestwiała jakiekolwiek kryteria oceny moralnej postępowania ludzkiego. W „Widzeniu" osławionemu instynktowi macierzyńskiemu przeciwstawił Wygodzki świadome ideowe bohaterstwo matki proletariuszki, która po latach rozłąki, patrząc na syna poprzez kratki sanacyjnego więzienia, potrafiła powiedzieć „Nie znam tego człowieka". A nie jest to motyw w twórczości Wygodzkiego przypadkowy i odosobniony. W zbiorku „W kotlinie", znajduje się opowiadanie o matce, która synowi, znajdującemu się w rękach gestapo dostarczyła ubranie, w którym syn otrzymał cjanek potasu, na wypadek wsypy, gdy chwila załamania przy gestapowskich metodach badania mogłaby grozić wydaniem nazwisk towarzyszy partyjnych.

Cennym i nowatorskim opowiadaniom Wygodzkiego, krytyka postawiła dwa główne zarzuty: małą plastyczność postaci drugoplanowych, które poza narratorem i głównym bohaterem stanowią wyłącznie tło akcji i pominięcie tematyki produkcyjnej, w procesie produkcji wartość pozytywnych bohaterów Wygodzkiego uzyskałaby pełnię i konkretność wyrazu. Możnaby się zastanawiać, w jakim stopniu krytycy uwzględnili specyfikę zainteresowań twórczych Wygodzkiego, gdyby autor sprawy sam nie rozstrzygnął. Ostatnie dwie pozycje prozy Wygodzkiego „Opowiadanie buchaltera" i powieść „Jelonek i syn"**) z procesami produkcji są jak najściślej związane.

„Opowiadania buchaltera" nie można właściwie zaliczyć do kategorii prozy artystycznej. Forma dialogu buchaltera z narratorem jest tak dalece marginesowa i nieważna, a opowiadanie buchaltera do tego stopnia rzeczowe i pozbawione elementów fikcji literackiej, że można je traktować za sproblematyzowany, a więc wyselekcjonowany zbiór faktów i zestawień statystycznych. Tablice statystyczne, korespondencje, protokóły z matematyczną dokładnością ujmują istotę przeobrażeń, zachodzących w fabryce. W „Opowiadaniu buchaltera" Wygodzki wytypował najistotniejsze problemy: przejście władzy w przedsiębiorstwach w ręce robotników, trudności pierwszych lat powojennych, krecią robotę burżuazji i jej zaprzedańców w ruchu robotniczym przed zlikwidowaniem prawicowo - nacjonalistycznego odchylenia, racjonalizatorstwo, zagadnienie kadr. Jest to więc jak gdyby etap pierwszy pracy Wygodzkiego nad powieścią „Jelonek i syn", której akcja rozgrywa się w tej samej hucie bieli cynkowej, powtarzają się nawet niektóre nazwiska, pewne obrazy artystyczne są jedynie literacką ilustracją poszczególnych korespondencji czy wykazów z „Opowiadania buchaltera". I tu dotykamy zagadnienia dla twórczości literackiej wcale nie drugorzędnego. Wygodzki publikując „Opowiadanie buchaltera" odkrył wiele właściwości własnego warsztatu twórczego, typowego dla wielu naszych pisarzy. Dla uważnego czytelnika dwóch ostatnich pozycji prozy Wygodzkiego, jest najzupełniej jasne, że wątki i sytuacje w „Jelonku i synie", to jedynie ilustracje literackie poszczególnych problemów, wytypowanych w „Opowiadaniu buchaltera". Cóż my wiemy właściwie o większości bohaterów powieści? Salak jest starym działaczem partyjnym, który w Polsce Ludowej zostaje dyrektorem (awans społeczny), gołębiarz Kulawik zaczyna czytać (wartości, tkwiące w proletariacie), pomocnica Irena idzie na kurs buchalteryjny (walka o kadry), sklepikarze Ziejewscy i Baran, którego przed wojną skazano na więzienie działają zawsze na szkodę (walka klasowa) i tak dalej, i tak dalej. Bohaterowie Wygodzkiego to nie żywi ludzie, których potrafilibyśmy scharakteryzować, których potrafilibyśmy sobie wyobrazić, których moglibyśmy podziwiać lub nienawidzieć. Wyczerpanie problematyki zakładu pracy człowieka, to jeszcze nie prawda o samym człowieku, a więc i nie prawda o zakładzie pracy, bo przecież człowiek jest organizatorem, twórcą, świadomym kierownikiem wszelkich społecznych form działalności ludzkiej, a więc pracy przede wszystkim. Z powieści Wygodzkiego tak wiele dowiadujemy się o fabryce, a tak mało o ludziach. To bardzo dobrze, że pisarz poznając zakład pracy wiele się uczy od bardzo świadomego buchaltera, że w dyrekcji poznaje całokształt problemów danego zakładu, ale od biedy zagadnienia te możnaby poznać, nie wyściubiając nosa spoza biura. W zakładzie pracy trzeba byłoby zainteresować się głównie ludźmi, bo o nich nie wszystko mówią statystyki, sprawozdania i instrukcje! Wiele moglibyśmy nauczyć się od pisarzy radzieckich, którzy potrafią pisać pięknie o ludziach, ich uczuciach i tęsknotach. Ostatnio nagrodzona powieść Zakrutkina „Pływająca stanica", żeby nie cytować dziesiątek innych, jest jak najściślej związana z tematyką produkcyjną, ale jakie bogactwo ludzkich charakterów, ludzkich konfliktów dostrzega Zakrutkin!

Czy wobec tego powieść Wygodzkiego w jakiejś mierze realizuje postulaty, które tak wnikliwie wysunął Wygodzki w „Opowiadaniu buchaltera", czy pokazuje wyższość nowych ludzi, czy przeciwstawia nicości burżuazji twórczą wielkość proletariatu. Wydaje się, że mimo wytkniętego schematyzmu, mimo niewypełnienia ram szeroko zakrojonej powieści ludźmi prawdziwymi, pełnymi i wzruszającymi, Wygodzki napisał studium śmiałe i obiecujące. Mówię studium, ponieważ „Jelonek i syn" to właściwie pierwsza powieść Wygodzkiego i zważywszy na duże możliwości i poważne aspiracje autora, jest to niewątpliwie jeden z etapów pracy nad powieścią prawdziwie pełną i dojrzałą.

Wytykając marginesowość i konturowość postaci powieści, nie wymieniłem nazwisk bohaterów tytułowych — Jelonków, ojca i syna. Są to postacie najbardziej żywe. Wygodzki bohaterom negatywnym dał role tytułowe, przesuwając punkt ciężkości powieści na problem drobnomieszczaństwa. Stary Jelonek był przed wojną bednarzem i w będzińskiej hucie cynkowej zajmował uprzywilejowaną pozycję samodzielnego przedsiębiorcy, co w pewnej mierze dawało mu możność współuczestniczenia w przywłaszczaniu sobie owoców cudzej pracy. Jelonek zatrudniał obok własnych synów pewną ilość pracowników najemnych. Drobnomieszczaństwo w kapitalistycznym układzie stosunków społecznych, charakteryzowała dwuznaczność pozycji społecznej i dwutorowość kierunku rozwojowego. Prywatna własność i rzekoma niezależność gospodarcza zbliżały drobnomieszczaństwo do burżuazji, dokonywujący się od zarania kapitalizmu proces likwidacji żywiołu drobnomieszczańskiego prowadził najczęściej do proletaryzacji. W warunkach imperialistycznej monopolizacji był to niezawodny punkt dojścia. Tylko trzeciorzędna literatura burżuazyjna łudziła możliwościami zrobienia kariery, dzięki skrzętności i pracowitości. W rzeczywistości nawet w warunkach polskiego zacofania ekonomicznego, powodującego przewagę drobnomieszczaństwa, kariera bourgeois pozostawała w sferze pobożnych życzeń drobnomieszczanina. Niemniej jednak drobnomieszczaństwo, korzystając z ochłapów kapitalistycznej własności, było i jest główną rezerwą politycznej reakcji. Nie bez przyczyny rzecznicy interesów wywłaszczonej burżuazji Grzybowa, Gola, Piasecki, upatrzyli sobie Jelonków za narzędzie wrogiej roboty przeciwko władzy ludowej. Stary Jelonek nie był zadowolony z utraty swojej uprzywilejowanej pozycji w hucie, choć nie działa mu się wyraźna krzywda, a syn przyjęty nieopatrznie do partii osiągnął awans społeczny, o którym w czasie kapitalizmu nie mógłby nawet marzyć — został dyrektorem socjalistycznej fabryki. W starym Jelonku mniej — w młodym więcej pokutowała jednak niewolnicza dusza. Stary musiał na własnej skórze doznać skutków wrogiej roboty, by się przekonać, że z Grzybową i jej popleczni kami nic go właściwie nie łączy. Na zebraniu partyjnym, na którym rozpatrywana była jego sprawa, Jelonek przemówił mądrze i przekonywująco.

„Ja wiedziałem, że nie będzie eksportu, ale wiedziałem o tym od Grzybowej, bo ona we mnie czuła swojego kolegę i przyjaciela, a wiecie dlaczego? Bo widziała, że klnę, że stękam, że nie chcę robić i bo ona mi przypominała, jak to było przed wojną, kiedy ona była przedsiębiorcą i ja byłem przedsiębiorcą a teraz to oboje musimy pracować u tego Salaka, który przecież był tylko palaczem. Tak mówiła i ja jej szedłem na rękę, właśnie przez zwlekanie z robotą jej pomagałem".

Ze nawrócenie starego Jelonka było pełne i prawdziwe, świadczy najlepiej fakt, że Jelonek pogodził się ze stratą domku, na który pracował przez całe życie, a który na skutek przebudowy robotniczej dzielnicy trzeba było zburzyć. Jelonek wiedział, że mieszkanie w nowiutkich blokach robotniczych będzie i lepsze i nowocześniejsze. Tylko po przezwyciężeniu wszelkich dawnych nawyków i przyzwyczajeń, możliwe jest kroczenie wspólną drogą z proletariatem na głównym szlaku.

Jelonek syn zbyt długo chodził manowcami, zbyt długo wysługiwał się Grzybowej i Ziejewskim i dlatego padł ofiarą własnej lekkomyślności. Kiedy spróbował stanąć okoniem, zginął z rąk swoich niedawnych wspólników. Do Salaka, Wawrzkowskiego i innych ludzi partii można mieć pretensje, że w okresie załamania się młodego Jelonka, w okresie jego pijackiej pasji, nie wyciągnęli do niego pomocnej ręki. A młody Jelonek miał wtedy chęci jak najlepsze i gryzł się brakiem zaufania.

Wygodzki zabrał się do zagadnienia wielkiej miary. Plan sześcioletni przewiduje gruntowną przebudowę ekonomiczną Polski. W zapadłych na wpół średniowiecznych miasteczkach powstaną wielkie ośrodki przemysłowe, realizacja planu sześcioletniego wchłonie olbrzymie masy ludzkie do zadań socjalistycznego budownictwa, żywioły drobnomieszczańskie na mocy praw ekonomicznego rozwoju znajdą się w szeregach proletariatu, żywioły te trzeba pozyskać dla wspólnej sprawy, trzeba im pomóc przezwyciężać chwiejność, stare nawyki i przyzwyczajenia, niepotrzebne opory. Dobrze się stało, że Wygodzki pokusił się rozwiązać literacko problem drobnomieszczaństwa, problemu tego zresztą nie można pomijać, jeśli się chce na płaszczyźnie porównawczej przedstawić przeszłość i teraźniejszość, dawnych i nowych ludzi. Na Jelonków czekają fabryki, kopalnie i huty. Jelonkowie mają wreszcie możność wyrwania się z zakisłej atmosfery średniowiecznych warsztatów i niedokończonych domków. Na nich liczy socjalistyczna ojczyzna, ale wśród nich szuka ostatniego oparcia tracąca grunt pod nogami polska reakcja. Sklepikarze Ziejewscy to żywioł na dłuższą jeszcze metę niepewny i do wychowania trudny, czujność i walka są nieuniknione ale dla uczciwych miejsca do pracy i chleba nie zabraknie.

Postępowanie Jelonków umotywował Wygodzki realistycznie, uwzględniając klasowe wyznaczniki postępowania ludzkiego. Późniejsza gorliwość starego Jelonka jest gorliwością neofity. Wygodzki uniknął błędu Jackiewicza, który Jana Leśniaka, bohatera bliźniaczo podobnego do młodego Jelonka, uczynił proletariackim synem, gwałcąc tym samym zasadę typowości. Podobnie zrozumiałe jest postępowanie byłego akcjonariusza Piaseckiego i żony byłego dyrektora Grzyba. Grzybowa powiązana stosunkami towarzyskimi z burżuazją krajów kapitalistycznych, liczyła się z możliwością przywłaszczenia sobie przynajmniej kapitałów i należności ulokowanych w bankach i firmach na zachodzie. Burżuazja potrafi występować solidarnie, zwłaszcza jeśli interesy jej są zagrożone. Na apel Grzybowej kapitaliści zachodnioeuropejscy zerwali stosunki handlowe z hutą, która przeszła w ręce robotników. Solidarności burżuazji przeciwstawił Wygodzki braterski internacjonalizm proletariatu. List Grzybowej demaskujący jej wrogie poczynania, przysłał jakiś bezimienny sprzymierzeniec z zachodu, któremu z całą pewnością musiała być bliska sprawa polskiej huty. O Grzybowej wiemy stosunkowo wiele. Znamy jej przedwojenny styl życia, znamy jej uczucia, gdy jej komfortowy pałac stał się siedzibą komitetu partyjnego, gdy ona sama zmuszona była pracować w jednym pokoju z człowiekiem, który przed wojną biegał u niej na posyłki.

Blado i nieprzekonywująco wypadła natomiast postać Barana, którego sprawa wypływa właśnie wtedy, gdy Wygodzki, rozwiązawszy konflikt Jelonków, nie miał punktu wyjściowego do dalszej akcji. Baran popełnił pono przed wojną mord rabunkowy po wojnie zaś starając się o pracę pominął sprawę siedmiu lat odsiedzianego przed wojną więzienia. Nie wiemy jednak nic o motywach jego zbrodni. Czyżby Wygodzki chciał nas przekonywać o istnieniu „wiecznego zła, tkwiącego w tajnikach ludzkiej duszy". Bo jakże inaczej wyjaśnić jego dwulicowość w czasie pracy w hucie, skoro o żadnych realnych motywach jego wrogiej postawy nie wiemy. Przecież w interesie Barana, jeśli był niewinny zarzuconej mu zbrodni leżało zmazanie ciążącej na nim plamy sumienności i uczciwym stosunkiem do pracy. Przecież w jego interesie leżało jak najlepsze współżycie z kuzynem Rydwałem, który wtedy prawdopodobnie nie zechciałby szkodzić krewniakowi przypominaniem dawnej hańby. Wygodzkiemu chodziło najprawdopodobniej o podkreślenie, że członek partii powinien być nieskazitelny pod każdym względem. Słusznie! Należałoby jednak gruntowniej znać ludzi, którym się powierza wykonywanie pewnych zadań społecznych, wyjaśnić dokładniej ich życiorys. Sprawa jest w istocie nie najważniejsza, nie stanowi problemu społecznego, trzeba jednak stwierdzić, że jest ujęta przez Wygodzkiego w całości nie na właściwej płaszczyźnie. Mści się na Wygodzkim dorabianie postaci do konfliktów, a Baran mógłby być postacią ciekawą i wartą rozpracowania.

Z postaci pozytywnych rumieńce życia posiada stary Wawrzkowski, robociarz - ideowiec, który wiele lat swego pracowitego żywota poświęcił walce i pracy. Zażenowanie, a nawet upokorzenie, jakie odczuwa, gdy mu dano pracę lżejszą, odpowiedniejszą dla niego ze względu na schorowane nogi, jest głęboko wzruszające i prawdziwe. Ludzie, którzy przez wiele lat, wykonują odpowiedzialną pracę, nie tylko kochają ją ale i cenią bardzo wysoko. Dla Wawrzkowskiego praca przy piecu stała się treścią życia, pilnowanie ludzi pracujących przy pakowaniu mogło mieć dla niego posmak emerytury. Dlatego naturalnym objawem podrażnionej ambicji własnej będzie skoncentrowanie wysiłku. Wiemy, że Wawrzkowski zabrał się do nauki, że poznał chemię, że na dyrektorstwo w pełni zasłużył. Przyczepiony dosyć sztucznie wątek kłopotów rodzinnych Wawrzkowskiego (bez konsekwencji w toku akcji powieści) ożywia i przybliża postać niestrudzonego bojownika proletariackiej sprawy.

O schematyczności głównego bohatera pozytywnego Salaka już wspominałem. Wiemy o nim właściwie tyle, że od 1905 roku walczył z kapitalizmem i w walkę wkładał całą duszę. Postępowanie Salaka jako dyrektora nie jest uwarunkowane wewnętrzną logiką. Salak błądzi, bo Wygodzki chce mówić o błędach nowej władzy, Salak błędy swoje naprawia, bowiem błędy muszą być naprawione. O Golewiczu, Marciniaku, Florku i innych aktywistach partyjnych trudno powiedzieć pół zdania. Wydaje się, że Wygodzki łatwiej pokazuje nicość „tamtych" ludzi niż twórcze wartości budowniczych socjalizmu. W „Opowiadaniu buchaltera" naszkicował Wygodzki problematykę powieści o socjalistycznym zakładzie pracy słusznie i wnikliwie. Gdy przyszło pod konflikty i problemy podstawić ludzi działających, Wygodzki zbyt pobieżnie potraktował sprawę materiału obserwacyjnego, znajomości proletariuszy od strony ich uczuć i dążeń, od strony ich życia w domu, w świetlicy, w kinie. Władze partyjne kilkakrotnie zwracały uwagę Salakowi, że nie współpracuje z kolektywem ludzkim, że nie prowadzi akcji uświadamiającej wśród robotników, że sprawy ogólne rozstrzyga po dyrektorsku, odgórnie. Poprawy u Salaka nie widzimy. Przeobrażenie starego Jelonka byłoby przecież pełniejsze, gdyby Jelonek miał okazję swoje doświadczenia uogólnić, skonfrontować, chociażby w dyskusji z towarzyszami, z założeniami ideologicznymi marksizmu. Nowi ludzie, to nie tylko ludzie ofiarni, szlachetni, ale i przede wszystkim świadomi. Ani o Salaku, ani o Wawrzkowskim, ani Kulawiku pełnej prawdy Wygodzki nie powiedział. Dlatego reasumujący wniosek może być tylko jeden, Wygodzki poszukuje dopiero prawdy o ludziach wielkiego przełomu, sam przełom chwytając trafnie i głęboko. W twórczości Wygodzkiego nie ma miejsca na łatwiznę i przeciętność, jest to pisarz, mający ambicję rozwiązywania zagadnień trudnych, skomplikowanych. Dlatego nawet potknięcia Wygodzkiego są cennym i pouczającym doświadczeniem dla naszej młodej literatury realizmu socjalistycznego.

Henryk Bereza.

---

*) Stanisław Wygodzki „Opowiadanie buchaltera" Czytelnik 1951 r.

**) Stanisław Wygodzki „Jelonek i syn" PIW 1951 r.

ERICH WEINERT

DO ROMAIN ROLLANDA

(w siedemdziesiątą rocznicę urodzin)

W Twojego serca bezdymnym płomieniu
Krew jakobinów kipi purpurowa.
Ty się nie kochasz w gładkim przemilczeniu
Lecz mówisz dobre, jednoznaczne słowa.

W Twych słowach dźwięczy stulecie skrzydlate —
To niespokojne — nad ojczystym łanem.
Każdy syn buntu staje Ci się bratem,
Blaskiem ich żrenic oczy Twe owiane.

Jest w Twoich oczach zapał Montegnardów,
Duma Wiktora i pasja Woltaira.
Ostry gniew Zoli, werbel komunardów —
Wielkie stulecie słowo Twoje wspiera.

Gdy władcy świata wszczęli zawieruchę,
Piętnem morderców znaczyłeś im skronie.
Duchowi prawdy wiernym byłeś druchem
I przez granicę ściskałeś nam dłonie.

Gorące słowo nie wstrzymało wojny.
Znów świat rozpalił się rzezią światową.
Ryczały pickła — brzmiał Twój głos dostojny
I ponad śmierć urosło żywe słowo.

Mówiłeś do nas, niestrudzony w znoju,
Wiedziałeś: pojmą Twe słowa nareszcie;
O szczęściu Ludów i Ludów Pokoju
I Europa przerwie pasmo nieszczęść.

Gdy tak ze światem upadku walczyłeś,
Spoglądasz: zima odmarza surowa,
Świat Praw Człowieczych wstał i urósł w siłę.
Lenin go tworzył a Stalin budował.

Ty doń należysz. Przeto Cię nazywa
Z radosną dumą proletariat cały
Swym Towarzyszem. W słowie tym prawdziwa
Wielkość i order najgodniejszej chwały.

Moskwa 1936 r.

ERNST THAELMANN

Domem dziś jego grób z kamienia.
Ciało znękali kaci.
Od lat słów z nikim nie zamienia
Od lat nie przeniknie do więzienia
Najbłahsza wieść od braci.

Trzy lata czuje ciężar oków
I dłoni od krwi śliskich.
Nie dojrzy twarzy ludzkiej wokół,
Tylko majaczą się w półmroku
Oprawców tępe pyski.

Choć nieprzebyte, głuche mury
Obwiodły gmach więzienia,
Gniew nasz wyczuje z tchnień wichury,
I wie, że w każdy dzień ponury
Ślemy mu pozdrowienia.

Choćby pod pięścią w lochu skonał,
Wróg ducha w nim nie skruszy,
Gdyż on więzienny mrok pokona,
Wie jest godzina naznaczona
Gdy Lud do boju ruszy.

Moskwa 1936 r.

Przeł. Tadeusz Chróścielewski

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

TRYBUN LUDU NIEMIECKIEGO

W gwardii postępowych poetów-demokratów, którzy w latach niesławnej Republiki Weimarskiej oraz po dojściu Hitlera do władzy walczyli słowem i czynem o wyzwolenie społeczne ludu niemieckiego, o Niemcy wolnej, pokojowej pracy, szacunku dla innych narodów, ich niepodległości i wartości kulturalnych — w gwardii tej niewątpliwie pierwsze miejsce przypada Erichowi Weinertowi, czołowemu działaczowi niemieckiej partii komunistycznej, znienawidzonemu przez burżuazję, socjaldemokratycznych oportunistów i hitlerowców, ukochanemu przez masy robotnicze.

Erich Weinert urodził się w r. 1890 w Magdeburgu w środowisku robotniczym. Jako młody chłopiec pracuje w miejscowej fabryce maszyn. Dzięki pomocy rodziny uczęszcza do plastycznej szkoły zawodowej. W momencie wybuchu pierwszej wojny światowej zostaje zmobilizowany. Ciężkie doświadczenia wojenne przyśpieszają rozwój duchowy młodego rysownika i przyszłego poety. Świadek rzezi narodów pod Arras i w Wogezach staje się odtąd śmiertelnym wrogiem wojny zaborczej i szowinizmu narodowego. Fakt wysyłki milionów prostych ludzi na śmierć i kalectwo w imię interesów właścicieli karteli i trustów, łączy się w jego umyśle z wyniesionymi z dzieciństwa i wczesnej młodości wspomnieniami nędzy robotniczej w latach pokoju. Młody, wnikliwy umysł potrafi wyciągać prawidłowe wnioski. Niemiecka rewolucja listopadowa z r. 1918 znajduje w nim sympatyka i czynnego uczestnika. Gorzkie refleksje wysnute z upadku rewolucji na skutek haniebnej zdrady socjaldemokracji, lektura dzieł Lenina, wieści z frontu walki i budowy socjalizmu w ZSRR, czynią zeń w przeciągu stosunkowo krótkiego czasu dojrzałego komunistę, od r. 1924 aktywnego członka partii.

Po upadku rewolucji Weinert zarzuca ostatecznie ołówek rysownika, by odtąd chwycić za pióro. Wybucha w nim niemal momentalnie dojrzały artystycznie i od pierwszych utworów panujący nad słowem poeta, mistrz agitującego wiersza politycznego i satyry. Debiut poetycki Weinerta ma miejsce nie na łamach pism, lecz na estradzie kabaretu literacko-politycznego w Lipsku. Niezwykle uzdolniony deklamator, obdarzony bardzo silnym, metalicznym głosem, doskonałym wyczuciem rytmu oraz umiejętnością wydobycia z utworu wszystkich jego wartości emocjonalnych, buduje swe wiersze z myślą przede wszystkim o recytacji. Mają one charakter retoryczny, oddziaływują szczególnie silnie w momencie wygłaszania. Już pierwsze wiersze wstrząsnęły słuchaczem. Niebywałe wzruszenie odbiorców i entuzjazm dla twórcy towarzyszą odtąd wszystkim wystąpieniom poety-recytatora.

Twórczość okresu lipskiego, zebrana częściowo w wyd. w r. 1923 tomiku „Krzywe zwierciadło", to przede wszystkim satyra, uderzająca w niemieckie zadowolone z siebie, tępe drobnomieszczaństwo, żyjące jedynie w ciasnym kręgu swych osobistych spraw i interesów, bojące się jak ognia wszelkich pozorów nielojalności.

Z Lipska przenosi się poeta do Berlina. Tam wstępuje do partii. Teraz już nie zadowala się recytowaniem dla niedużej stosunkowo liczby, ograniczonej z konieczności rozmiarami salki, przygodnych w pewnej mierze słuchaczy. Terenem wystąpień poety stają się odtąd masowe zebrania robotnicze, wiece, meetingi, manifestacje. Poeta recytuje do tłumów w szumie czerwonych sztandarów, w pełnych napięcia momentach, grożących załamaniem psychicznym, gdy liczono się z możliwością szarży policji czy napadu bojówek. Treścią komunikatywnych, zwięzłych i mocnych wierszy są wydarzenia dnia, aktualne problemy polityczne, problematyka święta robotniczego, sukcesy budownictwa socjalizmu w ZSRR. Wiersz poety agituje i wyjaśnia, przygotowuje do ofiar, przepaja pewnością ostatecznego zwycięstwa. Wiersze te — a w ciągu kilkunastu lat nieprzerwanej, niezmiernie płodnej twórczości stworzył ich setki — powstawały „na gorąco", na godzinę przed wystąpieniem, czy nawet w samej namiętnej atmosferze zebrania robotniczego. Nie było miasta i miasteczka robotniczego na terenie Republiki Weimarskiej, Nadrenii, niemieckiego kantonu Szwajcarii, w którym by Weinert nie występował i nie wywołał poruszenia. Dość powiedzieć, że do 1931 r. czyli w ciągu bez mała 10 lat występował publicznie przeszło 2.000 razy, wiele poza tym drukował w lewicowych gazetach robotniczych. Znikoma mniejszość tych wierszy zachowała się. Zwycięski faszyzm zniszczył wszystkie archiwa i biblioteki robotnicze oraz prywatne zbiory i rękopisy poety. Ta niezmiernie żywa działalność, wymowa polityczna wierszy Weinerta, ich dynamizm, ostrość jego satyry — wyraźnie zaniepokoiły reakcję. Od r. 1928 zaczynają się coraz złośliwsze szykany ze strony władz i urzędów, zakazy występów, prewencyjne aresztowania przed spodziewanymi wystąpieniami, prowokacje, ataki prasy burżuazyjnej i przekupnej prawicowo - socjalistycznej, próby skaptowania „niebezpiecznego" poety ze strony wielkich koncernów prasowych, które obiecują mu bajeczne honoraria za cenę zmiany tematyki. Od r. 1930, kiedy to poeta po raz pierwszy wybrał się w podróż do ZSRR, zabroniono mu w ogóle wszelkich wystąpień publicznych. Odtąd recytuje wiersze Ericha Weinerta — żona poety. W r. 1931 państwo wytacza poecie słynny proces o... płyty gramofonowe. Weinert bowiem po otrzymaniu bezwarunkowego zakazu wszelkich recytacji nagrał niektóre swoje wiersze na płyty. Akt oskarżenia zarzucał mu m. in. jako czyn przestępczy fakt, że jeden z jego wierszy „Czerwony strażak" stał się od wielu lat pieśnią masową. Mimo niesłychanych wysiłków, naczelny prokurator i kolegium sędziowskie nie mogło znaleźć żadnych podstaw prawnych do wyroku skazującego. Sąd zarządził jedynie zniszczenie płyt i zapłacenie grzywny. Faszyzm był już tuż za progiem. Wiersze poety wydano w kilka lat później na emigracji w tomikach: „Nadejdzie dzień", „Dziesięć lat na rampie", „Wiersze o wrogu" ostrzegają coraz dobitniej przed niebezpieczeństwem faszystowskim i groźbą nowej wojny, wzywają do stworzenia frontu jedności dla przeciwstawienia się nadchodzącemu zamachowi brunatnych koszul.

Poeta uniknął na szczęście rąk brunatnych oprawców, ponieważ w momencie hitlerowskiego puczu objeżdżał z recytacjami skupiska robotnicze w Szwajcarii. Hitlerowcy musieli się z konieczności zadowolić bestialskim zdemolowaniem mieszkania Weinerta. Następuje okres dziesięcioletniego blisko pobytu na obczyźnie, we Francji, Hiszpanii i kraju zwycięskiego socjalizmu. Nowe wiersze poety piętnujące faszyzm i jego przywódców, wzywające do przeciwstawienia się złu, przenikają do kraju przez zieloną granicę oraz drogą radiową. Posiadanie odpisów tych wierszy, nawet sam fakt czytania ich grozi karą śmierci. W Hiszpanii walczącej właśnie z faszystowską agresją chwyta poeta za karabin i do końca walczy w szeregach bohaterskiej brygady międzynarodowej. Wybitny współczesny poeta niemiecki — demokrata Willi Bredel we wspomnieniach swych z wojny hiszpańskiej tak opisuje uroczystość ku czci Rewolucji Październikowej, jaka miała miejsce w małej wiosce nad Ebro na linii frontu:

„Erich Weinert w mundurze republikańskim, blady, ponieważ przeżywał niedawno wraz z towaszyszami broni okres najcięższych bitew w dziejach brygady, wystąpił powoli naprzód. I stała się rzecz dziwna. Serca udręczone troską, trudem nad siły i niedostatkiem zabiły znowu mocno. Dokonały tego pierwsze zdania recytowanego wiersza. Przed oczyma żołnierzy stanęły jak żywe wspaniałe dni bitew. Serca wypełniła świadomość doskonale spełnionego obowiązku rewolucyjnego i braterskiej solidarności. Nawet hiszpańscy i katalońscy koledzy, nie znający języka niemieckiego porwani zostali siłą rewolucyjnego patosu i potęgą huczącą w słowach Weinerta".

Druga wojna światowa zastaje poetę na nowym posterunku w ZSRR. Na linię frontu spadają również pociski... wierszy Weinerta pod postacią ulotek zrzucanych w milionowych nakładach z samolotów. W mroźne bojowe noce pod Stalingradem o kilkaset metrów od okopów niemieckich stał przed olbrzymim megafonem zmontowanym przez młodziutkich pionierów sam Weinert i recytował wiersze. Wiersze te, jak: „Dzień sądu", „Za jakie Niemcy?", „Führer w śmierci", „Mówią polegli", „Chwała i hańba Niemiec" — nawoływały do opamiętania, do obrócenia broni przeciw wspólnemu wrogowi tak samego ludu niemieckiego, jak i ludzkości, wyjaśniały one tysiącom żołnierzy prawdziwe oblicze tej wojny. W r. 1943 poeta wybrany zostaje prezydentem Komitetu Narodowego Wolnych Niemiec. Stanowisko to, na którym położył wielkie zasługi dla dzieła odrodzenia narodu niemieckiego i zbudowania podwalin pod stworzenie państwa demokratycznego — piastował Weinert do r. 1945. Gdy Komitet spełnił swe zadania wraca do wolnego Berlina. Witają go tysiące listów od robotników z całych Niemiec. W prostych nieraz słowach wyrażają one wdzięczność za całą działalność poety, mówią o roli, jaką odegrały jego wiersze w okresie hitleryzmu w kraju, o otusze, jaką niosły klasie robotniczej w najcięższych chwilach.

Ciężkie nieraz lata tułaczki, troska o kraj i rodzinę, działalność poetycka i polityczna w bardzo ciężkich niejednokrotnie warunkach nie mogły nie odbić się na organiźmie Weinerta. Właśnie wtedy, gdy na połowie blisko obszaru Niemiec stało się faktem to, o co całe życie walczył, poeta zapada poważnie na zdrowiu.

Mówił kiedyś Lenin Klarze Zetkin:

„Sztuką należy do narodu. Musi sięgać najgłębszymi korzeniami do szerokich mas. Musi być przez nie rozumiana i kochana. Musi być zgodna z ich uczuciami, pragnieniami i wolą i z nich wypływać".

Taka była właśnie twórczość Ericha Weinerta.

Tadeusz Chróścielewski

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Czytelnicy radzieccy o poezji

„Prawdopodobnie często zdarza się, że pod obrazy poetyckiego utworu czytelnik podkłada coś swojego, osobistego „nieprzewidzianego" przez autora, ale utwór staje się przez to dla czytelnika jeszcze bliższy, jeszcze droższy".

Przytoczony fragment listu radzieckiego czytelnika w sprawach poezji, a takich głosów spotyka się wiele, dobrze charakteryzuje stosunek radzieckiej społeczności do wierszy. Stosunek ten jest żywy, gorący.

Poezja weszła głęboko w życie radzieckich narodów. Osiągnęła niesłychaną poczytność, szeroką masowość nakładów. Składa się na to wiele przyczyn: związek poezji radzieckiej z życiem wielomilionowych mas — w myśl wskazań Lenina wyrażonych w artykule pt. „Organizacja partyjna, a literatura partyjna", głębokie osadzenie formy i tradycji literackiej w kulturach narodowych, w postępowej tradycji każdego narodu, przede wszystkim rosyjskiego. Imię Puszkina i Majakowskiego (to już klasyk!) nie schodzi ze szpalt literackich radzieckich dyskusji; twórczość ich stanowi wysoki miernik i drogowskaz. „Bardzo lubię Majakowskiego... Przykładam jego wiersze jako miarę do tego wszystkiego, co się u nas ukazuje dziś w poezji" — wyznaje jeden spośród licznych radzieckich miłośników poezji.

Z Majakowskiego zaczerpnięto też cenne wskazanie: „jak najwięcej poetów dobrych i różnych!" Umiejętne stosowanie tej zasady pozwoliło uniknąć poezji radzieckiej sztampy i monotonności, tu nie ma szkoły poetyckiej w wąskim znaczeniu tego słowa, są różni poeci o różnej osobowości. Skala odmienności jest bardzo rozpięta: od klasycznego niemal Marszaka do spadkobierców Majakowskiego, Asiejewa i Łukonina, od bojowego publicystycznego Surkowa do refleksyjnego Szczipaczowa...

Wreszcie jeszcze jedno ożywcze źródło: umiejętne korzystanie z tradycji ludowych, z owej „pieśni gminnej", która tak nieprzeparty urok wywierała i na Puszkina i na jego następców. Nurt, który płynie przez stronice radzieckich tomików poetyckich, jest nurtem prawdziwie ludowym i narodowym, stanowi szerokie odbicie bogactwa artystycznego ludu. Sformułowanie zadań sztuki jako socjalistycznej w treści a narodowej w formie było tym magicznym kluczem, który otworzył do poezji obfity dopływ ludowych tradycji z różnych kultur narodów zamieszkujących Związek.

Dzięki temu poezja radziecka szczęśliwie ominęła „salony" ubiegłych lat, a zaczerpnęła z ożywczej krynicy ludowych wartości. Umiejętnie kojarząc tradycję z nowatorstwem, potrafiła stać się bojownikiem współczesności, natomiast w formie umiała zsyntetyzować trwałe wartości poezji rosyjskiej.

Zwraca uwagę, że najbardziej popularne pieśni radzieckie jak Katiusza itd., śpiewane są naprawdę przez miliony, a przecież powstały one jako wiersze. Ludowa śpiewność tego typu poezji, głęboko wyrażona powszechność uczuć, natchnęły kompozytorów do napisania muzyki. I oto poezja weszła w lud jako pieśń masowa. Ale osiągnęła ten chwalebny sukces nie tylko dzięki walorom muzycznym, ale przede wszystkim dzięki wartości poetyckiego słowa.

Przyczyny te ukształtowały szerokie świadome miłośnictwo poezji wśród czytelników radzieckich. Podkreślam to słowo: świadome. Czytelnik radziecki wie, czego ma od swoich ulubionych poetów żądać; miłość poezji, smak i wyrobienie pozwalają mu na najbardziej krytyczną, surową, ale zawsze życzliwą postawę. Krytyka taka utrzymuje bliską więź z masowym odbiorcą i stanowi znakomity wentyl dla poetyckiego „parnasu".

Ostatni, ósmy numer miesięcznika „Nowyj mir" opublikował cały szereg listów miłośników poezji radzieckiej. Jak to wynika z tekstu — listów pilnych czytelników i nie byle jakich znawców. Ogólny tytuł zbiorowej publikacji „o niektórych zjawiskach i zagadnieniach radzieckiej poezji" świadczy o szerokim wachlarzu zainteresowań. Wskażę na niektóre ciekawsze głosy krytyczne.

Wspomnienia Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, natężona walka o pokój, budzą szczególną uwagę radzieckich czytelników poezji. Pochwały zyskuje laureat stalinowski A. Surkow za zbiorek „Pokój światu!" „Wedle mnie — pisze jeden spośród czytelników — książka znajduje się w nurcie sławnej tradycji rosyjskiej, wolnościowej poezji klasycznej". Inny czytelnik z okazji tomiku B. Kežuna „Dalekie drogi" zauważa, że temat Wielkiej Wojny Ojczyźnionej, heroizmu i cierpień ludzi radzieckich nie wystarcza już sam przez się. Jeśli mówimy o ubiegłej wojnie, to nieodłącznie trzeba związać ten temat z walką o pokój. Tutaj poeta musi dla swoich przeżyć i tematów poszukać nowego świeżego wyrazu. „Jakże często — pisze inny spośród czytelników — poetyckie utwory, odzwierciadlające w swej treści toczoną na całym świecie walkę o pokój, mają formę zadziwiająco beznamiętną, mało emocjonalną". Autor listu powołuje się na negatywny przykład licznych poetyckich opisów bombardowania ludności cywilnej w Korei. Obrazy te są ogólnikowe i sztampowe. „Nie mogą one wywołać w naszej świadomości tych myśli i uczuć, o jakie chodziło poecie". Zdaniem innego czytelnika w poezji nie dość podkreśla się fakt, że pokój trzeba wywalczyć. Autor ostrzega przed złudną wizją pokoju, za którą nie widać natężenia wszystkich sił w walce z niebezpieczeństwem wojny.

Bardzo ciekawe są uwagi czytelnika na temat przedstawiania miłości i pracy w poezji. Autor krytykuje jednostronną dążność do ukazywania człowieka radzieckiego jedynie w trakcie pracy. „Bohater spotyka się z bohaterką, ale musi myśleć przede wszystkim o produkcji. Natomiast temat samej miłości i jej rozwiązanie — to okazuje się czynś drugorzędnym lub zgoła niepotrzebnym". Zdaniem autora listu, kastrowanie poezji z tematyki miłości, z uczuć osobistych, zuboża wiersze, czyni poetę oschłym, niezdolnym do pełni lirycznej. A przecież, gdyby Majakowski nie napisał „Fletu" i „Obłoku w spodniach", nie miałby tylu serdecznych uczuć później, takiej miłości w sobie i zdolności kochania. Umiejąc wypowiadać własne uczucie, Majakowski potrafił zdobyć się na wyrażenie powszechnego uczucia miłości w swoim poemacie o Leninie.

Miłość to nieodłączna towarzyszka pracy. „Same wiersze o pracy nie działają, nie wzruszają, jeśli poeta nie potrafi dobrze i głęboko wyrazić własnej miłości, oczywiście miłości naszej socjalistycznej, z nową moralnością i nowymi etycznymi formami".

Autor listu zwraca dalej uwagę, że podczas gdy w prozie toczy się walka nowego ze starym, to w poezji prawie nie ma ujemnego typu człowieka, z którym należy walczyć. Zaledwie trafiamy na ogólnikowe słowa. „Zagadnienia etyki, moralności, miłości jako składowej części naszej ideologii nie mogą odgrywać roli drugorzędnej, są związane z zagadnieniem pracy... Trudno np. wyobrazić sobie, żeby stachanowiec, człowiek uspołeczniony, dobry członek kolektywu, w prywatnym życiu był pijakiem, babiarzem i despotą..." W życiu przodującego człowieka radzieckiego praca i miłość wiążą się harmonijnie w całość. Tak też powinno być w poezji, nie tylko w prozie" — kończy radziecki czytelnik.

Listy czytelników roztrząsają również sprawy młodej poezji. Jak wiadomo, wychowanie nowych kadr literackich stanowi szczególną troskę Partii i dojrzałego już kolektywu pisarskiego. Temu poświęcał wiele czasu i serca wielki Gorki, prace zaczęte kontynuuje po śmierci autora „Matki" Instytut Literacki Jego imienia.

Przyszłość młodej poezji radzieckiej, jej obecne konkretne już zdobycze i braki stanowią jeden z tematów omawianego cyklu korespondencyjnego. Opinia czytelnicza jest surowa, ale zapewne podyktowana szczerą życzliwością.

Odnotowując sukcesy takich poetów jak: M. Dubin, A. Niedogonow (Sztandar nad radą wiejską), N. Grudinin, I. Orłow, R. Gamzator i in., czytelnik przechodzi do wypadków negatywnych. Uogólnia braki młodej poezji i na tej podstawie wyciąga wniosek, że wiersze młodych poetów „bardzo często zupełnie nie przyciągają uwagi szerokiego czytelnika. Mówiąc po prostu — książki ich nie wiele się kupuje, rzadko bierze się do bibliotek".

Zarzut ciężki (zresztą redakcja miesięcznika na wstępie do omawianych listów podkreśla, że nie wszystkie sądy czytelnicze akceptuje), ale posłuchajmy uzasadnienia. Analiza braków młodej poezji radzieckiej zawiera myśli ciekawe, niekiedy słuszne.

„Wielu młodych poetów — czytamy — wypracowało specjalną metodę. W trzech czwartych wiersza mówi się o wszystkim, a więc tym samym o niczym, autor wylicza różnorodne fakty, a na koniec stawia parę mocnych linijek „pointy". W ten sposób w utworze nie ma ani całości w przedstawieniu życia, ani całości obrazu". Hasło Majakowskiego („jak najwięcej poetów, dobrych i różnych"), bywa pojmowane powierzchownie. Młodzi poeci prześcigają się w gonitwie za oryginalnością, za nowym. Biorąc temat już „wypisany" usiłują stworzyć utwór do żadnego innego niepodobny. Stąd wymuszone pomysły, zewnętrzne eksperymentatorstwo, w rezultacie powstaje utwór „monotonny, nużący przez swą sztuczność i zmanierowane". W wielu wierszach młodych da się zaobserwować „wspólną cechę, polegającą na jakimś bezuczuciowym, ze wnętrznie wyszukanym, ale zimnym zobrazowaniu wydarzeń i ludzi". I tym negatywnym wypadku za słowami nie czuje się człowieka. Brak też wyraźnych związków między autorem wiersza a wielomilionowymi szeregami czytelników. Niekiedy utwór sprawia wrażenie jakby gdyby adresowany był do szczupłego zamkniętego kółka. A przecież „poeta, tworząc wiersze, powinien w myśli widzieć siebie przed najszerszym audytorium, powinien czuć odpowiedzialność przed wszystkimi ludźmi".

Przezwyciężenie tych błędów nastąpi wtedy, gdy poeta „przemyśli życie, odczuje własne miejsce w życiu, uświadomi sobie własne „ja" nie w oderwaniu, ale w związku z ludzkim kolektywem". Dalszym warunkiem jest wychodzenie w twórczości „nie od wierszy, nie od książek, ale od samej naszej rzeczywistości, od własnego, aktywnego, głęboko przetrawionego stosunku do niej"...

Wtedy i młodzi spełnią życzenie Majakowskiego, wyrażone w postulacie, jak największej ilości poetów „dobrych i różnych".

Listy czytelników radzieckich stanowią cenny, pouczający dokument szerokiego miłośnictwa poezji w Związku, a zarazem szczerej troski o jej najwłaściwszy i najpełniejszy rozkwit.

Grzegorz Timofiejew

OD KAPITALIZMU DO SOCJALIZMU

(Dokończenie ze strony 1-szej)

czych, o dynamicznym, a nie wegetatywnym profilu produkcyjnym.

Już bowiem w okresie Planu 3-letniego przeciętna roczna wartość dostaw maszyn i narzędzi rolniczych przekroczyła z górą **czterokrotnie** (w tym 15.500 nieznanych przed wojną traktorów!) zaopatrzenie w nawozy sztuczne **dwukrotnie**, dostawa prądu elektrycznego — **jedenastokrotnie** poziom przedwojenny. Za pośrednictwem 2704 spółdzielczych ośrodków maszynowych i bogatym parkiem nowoczesnych maszyn i narzędzi rolniczych, nowa technika wdarła się zwycięsko do pozbawionych przed wojną maszyn i narzędzi rolniczych, gospodarstw mało i średniorolnych. To szybkie tempo rozwoju sił wytworczych w okresie Planu 6-letniego uległo jeszcze dalszemu przyśpieszeniu. W pierwszym np. półroczu drugiego roku Planu Sześcioletniego (w porównaniu z takim samym okresem pierwszego roku Planu 6-letniego): obszar zasiewów i zbiorów wzrósł **o 139 tys. ha**, zaopatrzenie w nawozy sztuczne **o 5%**, zaopatrzenie w mechaniczną siłę pociągową (traktory) i towarzyszące jej nowoczesne maszyny i narzędzia rolnicze — **o 34%**, zaopatrzenie w ziarno selekcyjne i sadzeniaki **o 85%**. Szybko również wzrasta jeden z podstawowych elementów sił wytwórczych: poziom wiedzy agronomicznej pracującego chłopstwa, jego doświadczenie produkcyjne i wprawa w wykonywaniu prac rolnych.

Świadczą o tym nie tylko wyniki szkolnictwa rolniczego, które w roku 1951 wykształciło koło **500 nowych inżynierów - rolników** i około **3.000 nowych techników rolniczych**, ale także znaczny wzrost liczby zrzeszonych plantatorów roślin i hodowców oraz niezrzeszonych chłopów szerzej stosujących w produkcji rolnej nowoczesne metody agrotechniczne, zwłaszcza metody pracy przodującego w świecie rolnictwa radzieckiego. Liczba bowiem grup producentów zrzeszonych w ZSCh wzrosła **z 165 tys. grup w r. 1950 do 191 tys. w r. 1951**, a liczba ich członków z **3.339 tys.** do przeszło **4.100 tys.** członków, a liczba umów plantacyjnych przekroczyła **5 milionów**.

Coraz lepsze wyniki pracy mają przodując całemu rolnictwu pracownicy PGR-ów. Brygadzista PGR Brylewo — **Konieczny Antoni** uzyskał przeciętnie w dużym stadzie 4,2 kg wełny od 1 owcy, PGR Selec w pow. żnińskim uzyskał przeciętną mleczność 52 krów w wysokości 5620 litrów mleka od krowy, w PGR Koryto woj. łódzkie — od 35 krów przeciętnie po 5513 litrów mleka, o 3,4% tłuszczu, w gospodarstwie Chyszów, pow. Tarnów brygadzista **J. Sosnowski** otrzymał przeciętnie po 22 prosiąt od jednej maciory itd.

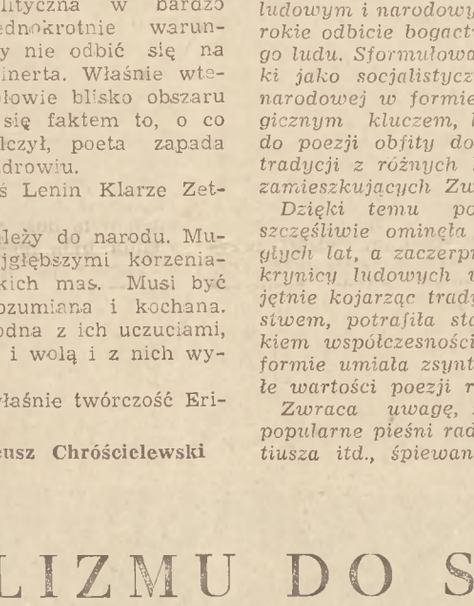

Z ich przykładów korzysta dziś coraz większa liczba mało i średniorolnych chłopów. O stałym powiększaniu się ich wprawy i doświadczeń produkcyjnych świadczą wymownie wyniki osiągnięte przez tysiące produkcyjnych plantatorów i hodowców.

Jeszcze lepsze wyniki osiągają pracujący zespołowo członkowie 3054 spółdzielni produkcyjnych. Tak np. spółdzielnia produkcyjna Gnojewo pow. Malbork otrzymała 41 q jęczmienia ozimego z ha, spółdzielnia w Starosielcach — 19 q rzepaku ozimego, 25 q żyta, 30 q pszenicy, spółdzielnia Łęgowica w pow. łódzkim — 30 q żyta z 1 ha itd.

Odpowiednio do tego rewolucyjnego skoku w poziomie sił wytwórczych zmienia się i profil porodukcyjny polskiego rolnictwa.

Jeśli chodzi o zwiększenie ciężaru gatunkowego hodowli, to okres Planu 3-letniego, nie mógł przynieść jeszcze w tej dziedzinie przełomu, ze względu na to, że produkcja zwierzęca, która zresztą bardziej ucierpiała od produkcji roślinnej w toku drugiej wojny światowej, wymaga dla swej rekonstrukcji i rozwoju dłuższego kresu czasu. Dlatego też w końcowej fazie Planu 3-letniego wartość produkcji zwierzęcej nie przekraczała 32% wartości całej produkcji rolnej.

Zasadnicze dopiero przemiany w tej dziedzinie przyniesie okres Planu 6-letniego, który przewiduje wzrost o 68% produkcji zwierzęcej, a o 39% produkcji roślinnej, zmieni całkowicie dotychczasowy stosunek obu tych działów produkcji rolnej.

Udział produktów pochodzenia zwierzęcego w produkcji towarowej (dostarczanej na rynek) zwiększy się jeszcze bardziej w por. z r. 1949, niż by to wynikało z ogólnego wzmożenia produkcji zwierzęcej w całokształcie produkcji rolnej. Państwowe Gospodarstwa Rolne zwiększą bowiem **ośmiokrotnie** produkcję mleka, prawie czterokrotnie produkcję mięsa wieprzowego, a **czterdzieści trzy razy** produkcję drobiu.

Już w okresie Planu 3-letniego uległ poważnej zmianie udział poszczególnych roślin w całokształcie produkcji roślinnej. Uprawiamy dziś znacznie więcej niż przed wojną pszenicy i jęczmienia, zbieramy trzykrotnie więcej buraków cukrowych, dwukrotnie więcej oleistych, włóknistych i innych roślin przemysłowych, rozszerzony został obszar uprawy i zwiększone plony roślin pastewnych i motylkowych, coraz więcej produkujemy warzyw i owoców. Już nie słoma, ziemniaki i żyto, ale pszenica i jęczmień, rośliny przemysłowe, warzywa — zaczynają decydować o dochodowości gospodarstwa rolnego w Polsce.

A wykonanie tego planu przebiega pomyślnie i przed terminem.

Całkowita rekonstrukcja techniczna polskiego rolnictwa rozpoczęta w okresie Planu 3-letniego, kontynuowana z coraz większym rozmachem w okresie Planu 6-letniego, szybki rozwój ruchu spółdzielczości produkcyjnej, całkowita przemiana profilu produkcyjnego naszego rolnictwa — wszystko to daje pewność, że mimo przejściowych trudności wywoływanych przez elementy kapitalistyczne, postanowienia Planu 6-letniego o polepszenie wzrostu spożycia mas pracujących zostaną wykonane.

Stanisław Cieślak

JAN KUŻAJ

CHWALISZEWIACY

Z ŻYCIORYSU ŚREDNIAKA

Jest dziś przeszło 70-letnim starcem. Odziedziczył po ojcu średniej wielkości gospodarkę jeszcze u schyłku XIX wieku. Braci spłacił, ale jednego z nich trzymał na łaskawym chlebie, póki nie znajdzie pracy. I tak żyli wiele lat. Kiedyś pokłócił się z sąsiadem w czasie podorywek o miedzę i zabił go, broniąc własnego życia. Gdy szedł na śledztwo chytry brat zwrócił mu uwagę, że będzie zapewne musiał oddać gospodarstwo żonie zabitego. Zdesperowany chłop, przepisał gospodarstwo na spłaconego brata, a kiedy po półrocznym areszcie wrócił na ojcowiznę, brat mu już ziemi nie zwrócił. Nie pomogły sądy. Gospodarka była prawnie własnością znienawidzonego brata.

Dalsze losy starca z Chwaliszewa dadzą się rozłożyć na trzy etapy. W pierwszym widzimy go jako pastucha i wyrobnika, z trudem utrzymującego żonę i troje dzieci. W drugim etapie zastajemy go w kopalniach zachodnio - niemieckich. Ciężkie warunki pracy powodują wiele wypadków. Ze złamanymi nogami leży przez pół roku w szpitalu. Kapitalista nie pozwala mu na dłuższą kurację, musiałby bowiem wypłacać kalece rentę inwalidzką. Z pogruchotanymi nogami idzie na front przeciw Rosji carskiej. Walczy potem w powstaniach śląskich. Potem znowu służy u bogaczy bez nadziei na poprawę bytu. Raz jeszcze próbuje szczęścia w kopalniach, tym razem we Francji. Drugi raz powtórzył swoje młodsze lata. Błędne koło życia zamknęło się.

W trzecim etapie obdarowany zostaje ziemą dzięki reformie rolnej, przeprowadzonej w Polsce Ludowej. Gospodarzy. Starość ma spokojną. Często widuję go, siedzi przed domem, ćmi wolno papierosy, przygląda się maszynom z naszego ośrodka, pracującym na jego polu.

Nienawiść wewnątrzrodzinna, krwawe nieraz spory braci o ziemię, ruina, tułaczka, gorzkie lata pracy u bogaczy, czy we dworze, są już poza nim.

KLOFTARZE

Biedotę w Chwaliszewie nazywano kloftarzami. Nazwa ta pochodzi od kloftu, czyli pracy w lesie. Była to obok średniaków najliczniejsza grupa społeczna chłopów, niewyczerpany rezerwuar taniej siły roboczej. W rodzinach Znamców, Janyszków, Krzywdów i innych, jak w ulęgałkach przebierali kułacy. W ciągu lata pracowali kloftarze u kułaków, dopiero zimą szli do roboty w lesie. Kloft był także instytucją towarzyską. Kto chciał dostać pracę w lesie musiał nieustannie podtrzymywać dobre stosunki z gajowymi. Niejedna biedniaczka pracowała u „pani gajowej", czy „leśniczanki" za „Bóg zapłać" nim mąż dostał pracę. A wódkę wypitą przez zarząd lasów mierzyć by chyba trzeba na beczki. Ci zresztą mieli także inne sposoby uzyskiwania łatwego zarobku. Zapowiadali np. pracę akordową, wyciskali pot z kloftarzy, a następnie płacili zwykłą dniówkę.

Opowiadają jeszcze i dziś ludzie w Chwaliszewie smutną historię o małorolnym **Serku**. Przygniotło go drzewo. Odwieziono go chłopską furmanką do szpitala; skąd po dwóch tygodniach wrócił z opuchniętymi nogami. Pozrywane ścięgna czyniły go zupełnie niezdolnym do pracy. Tymczasem orzeczenie lekarskie brzmiało, że jest tylko w 10 proc. niezdolny do pracy. Orzeczenie było równocześnie wyrokiem śmierci na kalekę, który nie dostał renty inwalidzkiej, a nie mógł pracować. Tylko, że śmierć przychodziła powoli. Serek męczył się jeszcze trzy lata.

Szalejący kryzys, zwłaszcza po 1930 roku wyrywał coraz to liczniejsze ofiary spośród biedoty i średniorolnych. Coraz częściej leżała ziemia odłogiem, porastały ją chwasty. Nienawożona ziemia rodziła coraz gorzej. Pośpiech. Kużaj, Budys zbierali z ziemi ledwo zasiew, a za robotę otrzymywali jedynie słomę. Ostatnim ratunkiem stawały się w tamtych latach — emigracje, owe wędrówki w bliższe lub dalekie kraje, lub próby znalezienia pozachłopskiej pracy na terenie kraju. Tych wędrowców nazywano w naszych stronach bandosami.

BANDOSI

Szli ludzie ze wsi, podpisywali kontrakty do Niemiec na roboty rolne, jechali do francuskich kopalń, belgijskich, niemieckich. Wędrowali nieprzebraną rzeką za chlebem, którego w kraju dla nich nie starczało.

Tak opuścił rodzinne strony średniak **Kościelny**, **Pośpiech**, szereg długich lat pracowali w kopalniach biedniacy **Młynarczyk**, **Barczyński**, **Śliwiński**. W kopalniach francuskich stracił zdrowie średniorolny **Sikora**.

Jak inni wyruszył w świat młody **Jakubowski**. Znósł wiele upokorzeń od pana majstra w miasteczku, ale ostatecznie złożył egzamin na ślusarza. Gdy jednak chciał pracować, okazało się, że pracy dla niego nie ma. Szukał najpierw pracy w swoim zawodzie, później prosił o jakąkolwiek. W rezultacie wraz z innymi śpiewał zmęczonym głosem pod magistratem w Krotoszynie piosenkę zrodzoną z rozpaczy głodu:

Panie burmistrzu
Flaki nam piszczą
Jeść nie dadzą
Na rynku stać każą...

Złamanemu i zrezygnowanemu chłopakowi wetknął w rękę sprytny agent kontrakt na pracę w kopalni francuskiej.

W jednym z listów pisał do rodziny:

„...i nie mogę wam na razie nic posłać, gdyż mało zarabiam, że ledwo na życie starczy. To już nie te czasy, kiedy na każdego człowieka czekano z otwartymi rękoma, teraz tu ludzi coraz więcej, a zarobki stale maleją. Myślę jednak, że się poprawi i wrócę do domu bogaty".

Nie wrócił, źle zabezpieczony strop zawalił się przytłaczając tego zdolnego chłopca i trzech współtowarzyszy emigrantów. Dziś stara matka odczytuje nam czasem pozostałe po nim listy.

BOGACZE

Mieszkają w dużych słonecznych domach, do nich należą najlepsze we wsi grunty, szczycą się dostatnimi zabudowaniami gospodarczymi. Na pastwiskach najpiękniejsze konie i krowy.

Kiedy kloftarze i znaczna część średniaków jadała trzy razy kartofle z żytnią zupą, oni zajadali wyszukane potrawy. Opowiadał mi ojciec, że biedota chwaliszewska czekała z utęsknieniem na czas gdy zakwitnie bób. Wiadomo: „Gdy kwitnie bób, nic ci już nie zrobi głód". Kułacy natomiast czekali — przednówka. Był to okres, kiedy błyszczeli we wsi jako „dobrzy sąsiedzi", pożyczając biednym zboże wzamian za odrobek.

Mimo iż bogacze chwaliszewscy znęcali się niejednokrotnie nad biedakami, znaczna część wsi żyła pod urokiem ich pozycji społecznej. Dostać się na szczyt drabiny społecznej naszej wioski — to było marzenie znacznej części średniaków. Ale ziemi nie można było dokupić. Pozostawała jedyna właściwie droga „awansu" dopożyczyć u kułaka — łączenie średniackich gospodarstw, chociażby kosztem wydziedziczenia dzieci, kosztem oszustw popełnianych na rodzeństwie. W Chwaliszewie obdarto z tkliwej, sentymentalnej maski stosunki wewnątrzrodzinne i sprowadzono je do spraw pieniądza i zysku. W walce o ziemię — jedyne źródło posiadania, brat bratu stawał się wilkiem, siostra siostrze życzyła nagłej śmierci, jeżeli mało to zapewnić uzyskanie majątku.

Średniak Jańczak ożenił się z córką średniaka. W perspektywie miał połączenie obu działek i dobicie do poziomu pierwszych we wsi gospodarzy. Ale brakło mu pieniędzy na spłatę rodzeństwa żony. Wobec tego obszedł się nieludzko ze swoim rodzeństwem, które usunął z gospodarstwa bez spłaty. Zapewnił natomiast, że da coś niecoś dzieciom, jeżeli rodzice będą u niego odrabiać.

DZIŚ

Jańczak kułakiem nie został. Jeszcze dziś mówi ze wstydem o swoich przedwojennych planach, z przykrością wspomina fakty wyzysku dokonywane na swoich najbliższych. Jańczak to nie jest zły człowiek, najlepszy dowód, że obecnie wyróżnia się jako aktywny samopomocowiec, przy państwowych akcjach skupu, kontraktuje jako jeden z pierwszych. Jakże więc stało się, że przed wojną, gotów był znęcać się nad członkami rodziny, byle tylko wspiąć się ku górze? Gdzie się podziewały jego ludzkie uczucia, które obserwujemy dziś?

Ustrój kapitalistyczny kształtował postawę życiową tamtych ludzi. Jańczakiem powodowały konieczności, od których nie mógł się uwolnić, których nie mógł wymnąć. Prawda to stara, czytaliśmy przecież w książce Engelsa — „Położenie klasy robotniczej w Anglii", czytaliśmy i w „Kapitale" o ojcach, którzy z rozpaczą godzili się na przyjęcie pozycji wyzyskiwacza własnych dzieci.

Dzieje Jańczaka i innych średniaków, losy Jakubowskiego, Serka, i tylu, tylu innych stanowią zatem oskarżenie kapitalistycznego ustroju a nie ludzi, których nędza popychała nieraz aż do zbrodni.

Ci, którzy przeżyli, z wyjątkiem bogaczy, wszyscy niemal okazali się w naszych warunkach powojennych pełnowartościowymi obywatelami. Nikt nie domyślał się w tamtych latach społecznych uczuć u naszej chwaliszewskiej biedoty. A jednak szczycimy się dzisiaj wzorową organizacją siewów i żniw, wybijamy się na czoło w akcji skupu zboża, nie jesteśmy ostatni i przy kontraktowaniu. Dawni kloftarze pracują spokojnie w okolicznych zakładach przemysłu drzewnego i przetwórczego. Któż może w naszych chwaliszewskich przodownikach pracy, pierwszych w dziejach, domyśleć się dawnych nędzarzy, wysługujących się „pani leśniczance".

Nowy ustrój i nowi ludzie rosną i w Chwaliszewie.

Jan Kużaj

Gazetka gminna

Co o tym sądzić?

Póki mój syn nie poszedł do średniej szkoły — wszystko było w porządku. Po roku tej szkoły zaczął mnie tak uświadamiać ideologicznie, dowodzić: „stary a społecznie niewyrobiony", żem się w końcu przejął i zaczął poważnie podkształcać politycznie. A kiedy kułak Kałuża, którego pola biegną tuż obok mojej chałupy, odgrażał się przy orkach, że konia podpuści i rozwali mój mały domek — postanowiłem nawet zapisać się do Partii. Tylko, że przeszkodziły mi w tym nieprzewidziane okoliczności.

W czasie żniw chłopak mój napisał w „Głosie Robotniczym", że SOM nie prowadzi klasowej polityki, kosi najpierw u kułaka Kałuży, a do biedniaków i średniaków posyła niewyremontowane maszyny. Myślę sobie, chłopak wyrobiony politycznie i ma rację.

Ale kierownik SOM-u, patrzcie ludzie, co zrobił pod wpływem artykułu pan kierownik Gałucki? Popędził co żywo do Gminnego Komitetu Partii prosząc, aby zajął się „uciskaną przez niesumiennego korespondenta ofiarą wytężonej pracy społecznej". Płakał pan kierownik, łzy ocierał i czekał. W komitecie napiętnowano mego syna. A jak z kolei „Głos Robotniczy"... zbadał sprawę, okazało się, że chłopak jest proszę was — czujny.

Poradźcie co mam myśleć o takim Komitecie Gminnym? Do Partii wybieram się w dalszym ciągu, ale nie chcę być towarzyszem ludzi, którzy autorytetem Partii osłaniają niedociągnięcia w pracy SOM-u i hamują zdrową krytykę.

Ján Zuska

Wyspa na... lądzie

Droga redakcjo gazetki gminnej! Gdzieście mnie posłali w tej delegacji? Powiedzieliście, że mam pojechać do gromad: Bogu[illegible]ów, Karolów, Aleksandrów i Faustynów, leżących podobno w radomszczańskim powiecie. Owszem administracyjnie to one należą do tego powiatu, ale faktycznie znalazłem je w... piotrkowskim. No i kłopotu z tego powodu — na wołowej skórze byś nie spisał.

Spróbuj np. kupić drzewa. Las pod nosem, a leśnictwo niecałe 2 km. Cóż z tego, kiedy powiedzą ci, że tyś nie z tego powiatu, tylko radomszczańskiego i dymaj bracie 18 km na drugi brzeg Pilicy. Chcesz kupić kilo cukru — proszę bardzo, ale w Ligocie Wielkiej. Tam jest twoja gmina. I znowu prawie 20 km do sklepu. Tyle samo na punkt zakupu węgla, czy nawozów. Prawdziwa wyspa na lądzie, tylko że życie gorsze niż Robinsona i Piętaszka. Ani tu kontroli, ani opieki nad biedotą i średniorolnymi chłopami. Kierownictwo partyjne za siódmą rzeką, z Powiatowej Rady Narodowej nikt tu nie przyjeżdża. Chłopi zapomnieli, jak wygląda ludowy urzędnik.

Kochana redakcjo — za twoim pośrednictwem — odwołuję się do odpowiednich władz, by zadecydowały z jakiego powiatu napisałem ten list: radomszczańskiego czy piotrkowskiego? Na rozstrzygnięcie czeka kilkuset współczesnych Robinsonów, do tej pory jeszcze nie odkrytych przez nasze władze.

Gustaw Tomala

Polityka kultury w gminie Porąbka

Chciałbym w niniejszym artykule złożyć hołd niezwykłej zaiste działalności kulturalnej GRN w Porąbce pod Sosnowcem, zwłaszcza zaś przewodniczącemu ob. Szywale. Nie mieliśmy najpierw biblioteki, a teraz za sprawą GRN i wyżej wymienionego mamy aż dwie. A w naszych warunkach dwie biblioteki, to tylę co o jedną za dużo. Świetlica i biblioteka Związku Zawodowego Górników wre życiem, natomiast podobna instytucja, której patronuje nasza gminna municypalność świeci pustkami. I pomyśleć, że te kilkaset książek byłoby rozchwytanych w innej gminie.

A z książkami zdarzyła się także i inna historia. Gminna Spółdzielnia, zgodnie z zapotrzebowaniem zobowiązała się dostarczyć młodzieży szkolnej odpowiednią ilość podręczników, lektur, materiałów piśmiennych itp. Wszystko byłoby w porządku, gdyby ob. Szywała znowu nie wystąpił jako nagminny polityk kultury. Spowodował on mianowicie otwarcie nowego punktu sprzedaży książek. Jak upowszechniać — to upowszechniać. W rezultacie oba punkty sprzedaży to akurat o jeden za dużo. Jeżeli bowiem GS sprzeda tysiące nagromadzonych książek, to „Dom Książki" nie sprzeda ani jednej. Tak oczywiście nie będzie, ale:

1. część niezmiernie dla młodzieży potrzebnych podręczników poleży bezczynnie na terenie Porąbki,

2. część niezmiernie potrzebnej płynnej gotówki została przez GRN i jej przewodniczącego uwięziona.

Prawda, że to arcydzieło na odcinku planowania.

Jan Jelonek

Apel do kobiet

W naszym przyjaznym gronie redakcyjnym „Gazetki gminnej" czuję się trochę, jak rodzynek w cieście. Bo przyjrzyjcie się, towarzysze, podpisom pod artykułami: same chłopy, a tylko ja jedna kobieta. Dlaczego tak jest? Czyżby kobiety nie umiały pisać? Nie potrafiły patrzeć?

Przypomnę Wam osobę 55-letniej korespondentki „Gromady" Chojeckiej. Wyobraźcie sobie, że ta Chojecka swymi korespondencjami zrobiła w swej gromadzie porządek za wszystkich mężczyzn. Zdemaskowała kombinatorów, nierobów, łotrów spod ciemnej gwiazdy w gminnej spółdzielni, zakrzątnęła się koło Gminnej Rady Narodowej, przejechała miotłą po złodziejach grosza publicznego w różnych instytucjach. Jaki rezultat? Przyjechała do jej wsi komisja i zrobiła wraz z nią taki porządek, że winni już od pół roku siedzą w ciupie.

Macie więc przykład odwagi, macie kobietę, która pisać uczyła się dopiero w „Gromadzie", lecz już wtedy potrafiła mobilizować opinię publiczną przeciw łotrostwom, przeciw wrogom klasowym.

Dlatego dziwię się bardzo, że w chwili obecnej, kiedy prasa polska przeszła — podobnie jak i środki produkcji — na własność ludu pracującego i staje się w naszych oczach wyrazicielką proletariackiej opinii publicznej i siłą kształtującą tę opinię — w naszej „Gazetce gminnej" brak artykułów zamieszczanych przez kobiety.

Apeluję do Was, kobiety i dziewczęta wiejskie, piszcie i jeszcze raz piszcie. Pokazujcie nam na konkretnych przykładach, co służy budownictwu socjalizmu, a co mu przeszkadza; co służy sprawie utrwalenia władzy ludowej, a co się przeciw tej władzy zwraca; co przyspiesza narastanie nowych, socjalistycznych form życia społecznego, a co je opóźnia; co służy sprawie walki o pokój i umocnienia obozu pokoju, a co jest działaniem na korzyść podżegaczy wojennych; co przyczynia się do rozwoju kultury i oświaty w kraju, a co ten rozwój hamuje; co przyspiesza i ułatwia realizację naszych planów gospodarczych Planu 6-letniego, co usprawnia pracę, przyczynia się do wzrostu jej wydajności — a kim są ci, którzy nam tę pracę utrudniają, którzy zamiast budować — burzą.

Kierując się w swej pracy takimi sprawdzianami, każda z Was będzie mogła prawidłowo wywiązać się z obowiązku korespondenta. Oczekując tego od Was, ściskam serdecznie Waszą dłoń.

Agnieszka Wojtasz

Czy zamiana ról

Powiadają we wsi o mnie, żem baba pyskata. Owszem, lubię gadać, ale do rzeczy. Tak też i teraz. Niech się cała gmina dowie, co mi się przytrafiło w Lututowie, gdzie wszystko przewróciło się na opak. Wybrałam się rano do gminnej spółdzielni po wiadro i garnki, bo sołtys ogłosił, że sprzedają. A ze z Chojen do miasteczka 8 km w minutę nie doskoczysz, więc też przyszłam pod sklep akurat pół godziny przed ósmą. Ale kierownik widać normę wyrabia, czy co — zamknął sklep przed terminem, a mnie odesłał do wszystkich diabłów.

I rzeczywiście diabeł mi się po drodze przytrafił. Szłam właśnie do GRN, żeby wyjaśnić sprawę szybkościowego zamykania sklepu, kiedy podbiegł do mnie sam ob. Fitaś, znany jeszcze sprzed wojny handlarz nierogacizną i dawajże namawiać: „Piskulina kochana, może macie świnkę. Przyjadę cichutko wieczorkiem, łebek utniemy i po pisku, a gotóweczka na stole". Rozpuściłam buzię, odskoczył Fitaś jak zmyty, ale człowieka opadły czarne myśli. Jakże to właściwie jest? Wszystko na opak! Kierownik, którego postawiono w sklepie, żeby nam chłopom biedakom i średnim służył — nie prowadzi z nami żadnego handlu, natomiast spekulant ofiarował od razu swoje usługi.

I tę sprawę chciałam przedstawić w GRN. Ale przyszłam na 10 minut przed końcem pracy, więc też nikogo nie zastałam.

Aniela Piskulina

DO KORESPONDENTÓW

Napiszcie o Waszych dzieciach, które urodziły się w pierwszym roku Polski Ludowej i tej jesieni poszły po raz pierwszy do szkoły.

Ostatnie oszustwo

No cóż — trzeba pisać tak jak naprawdę było. Daliśmy się oszukać przez kułaków przy klasyfikacji gruntów. Bogacze tacy jak: Pegza, Samotny, Klimaszewski i inni mają w naszej gminie najlepsze, pszenne grunty. Biedota przeważnie lichą ziemię — V-ej i nawet VI-ej klasy. Rozpuścili tedy kułacy pogłoski, że płaszczyste grunta zostaną zalesione, a następnie jak każdy las — upaństwowione. To znaczy, że biedniacy zostaną bez ziemi, jeśli dadzą ją sobie zapisać w najgorszych klasach. Co tu gadać — uwierzyliśmy. Ja, Samek, Pogorzała, Walecki, Miś i jeszcze z dziesięciu podaliśmy II-gą i III-cią klasę. Wyszło w końcu na to, że biedniacy posiadają najlepsze ziemie, a kułacy lichą. Stąd też oddawaliśmy zboże podczas skupu prawie po równo. Poczekaj tylko do następnego przednówka — wtedy zobaczysz bracie, co znaczy wierzyć kułakom. A i teraz człowiek z kłopotów wyjść nie może. Zawiadamiają mnie z GRN — Biegała sadź buraki i kontraktuj w przyszłym roku, jak masz taką dobrą ziemię. Gdzie tam moim 5-ciu morgom do buraków! Samek znowu ma kłopot z rzepakiem, Walecki też. Pogorzele zalecono prowadzić wzorowe, dochodowe poletko warzyw. Dużo mu na jego piaskach wyrośnie!

Widzicie więc, że błędy przy klasyfikacji powodują nie tylko odchylenie od klasowego charakteru skupu zboża, ale ciągną za sobą całe pasmo nieporozumień, zdezorientowana GRN męczy biedaków zaleceniami, których nie damy przecież rady wykonać.

Mądry Polak po szkodzie — powiada przysłowie. Właśnie o to chodzi, żeby, jeżeli już się wcześniej nie da — być mądrym przynajmniej po szkodzie. Mnie, Samka, Pogorzały, Waleckiego już więcej nie nabiorą, a was ostrzegam.

Jan Biegała

Dwie drogi do szkoły

Kiedy mnie śp. ojciec mój wysyłał do szkoły na kilka lat przed pierwszą Wielką Wojną, mówił jak wielu galicyjskich chłopów: „ty się na początek nie pchaj, na końcu nie zostawaj, a środka też się nie musisz trzymać. Księdza jegomości słuchaj, swoje myśl a kuferecek miej zawsze zamknięty".

Długom w tej szkole nie zabawił, coś niecałe trzy lata. Na więcej nie było ojca stać. Ze dwie morgi ziemi zmieściły się łatwo w moim „kuferecku", zostały jeszcze tylko cztery, na których do dzisiejszego dnia gospodarzę.

Kiedym ja tego roku swego syna do szkoły zawodowej w Tarnowie wyprawiał nie było mowy o „kuferecku". Pytam się chłopaka: Janek, jak będzie z pieniędzmi? Ja teraz nie mam, dopiero po kontraktacji.

— Nie trzeba, mam stypendium.

— W tych portkach starych pojedziesz?

— Dostanę tato ubranie robocze na raty.

— A czym się okryjesz, pierzynę chcesz?

— W internacie są koce i poduszki, nie trzeba tato.

I taka to była rozmowa. Z jednej strony człowiekowi troszeczkę przykro, że ojciec nie potrzebuje już pomagać synowi, ale jak sobie wspomnę mojego śp. ojca, robi mi się wilgotno w oczach. Kto się tam troszczył o mnie. A dziś synowi robotnik zbudował internat, postawił pracownie techniczne, państwo je wyposażyło, dało chłopakowi wikt, podręczniki, nauczyciela.

Piotr Pigwa

Zawiadamiamy wszystkich prenumeratorów naszego pisma, że począwszy od m-ca września br. urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy przyjmować będą wpłaty na prenumeratę w terminie do dnia 1-ego każdego miesiąca na miesiąc następny i okresy dalsze.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres Administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel. 40180—90. Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7.
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25
Tel. Red. Nacz. 727-86. Tel. Redakcji 751-80 dod. wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3.— zł; kwartalnie 9.—; półrocznie 18.— zł; rocznie 36.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 2-B-29954

Rozmaitości

Interwencja i basta?

Ostatnio często napotykam w gazetach korespondencje, krytykujące sołtysów. I coś mi się w tych korespondencjach nie podoba. Wyróżnić by można w nich cztery rodzaje. 1) Kiedy donosi na własną rękę sam korespondent. 2) Kiedy wyraża prośbę gromady. 3) Kiedy melduje o zwycięstwie gromady nad złym sołtysem. 4) Kiedy pokazuje, jak gromada prowadzi walkę o zmianę sołtysa. Moim zdaniem najwięcej korespondencji powinno być trzeciego i czwartego rodzaju. Niestety takich brak, ukazują się natomiast nagminnie pierwszego i drugiego rodzaju. A z tych widać, że gromadzie brak świadomości ludowładztwa. Albo korespondent lituje się nad „nieszczęśliwą" gromadą i pisząc list, liczy na interwencję z góry albo sama gromada poprzez jego list woła: „prosimy redakcję, by uwolniła naszą gromadę od sołtysa - wroga".

Redakcje powinny zwrócić uwagę na oba fronty. Gromada to siła społeczna, w Polsce Ludowej uzyskała i uzyskuje wszelkie warunki, aby zbudzić drzemiącą w niej moc władzy i rządności. Sołtys, to nie żadna czapka głęboko nasadzona z zewnątrz gromadzie aż po sam nos. Ona go wybiera, ona z nim na zebraniach planuje, postanawia, podejmuje i ona go kontroluje. Kiedy sołtys okazuje się zły, to zawsze oznacza jego powiązanie z wrogiem klasowym. Jakże to więc może być, że gdy wróg klasowy, 4 — 6 kułaków i spekulantów atakuje i opłatuje gromadę mało i średniorolnych — ona nie walczy i nie zwycięża siłą swej olbrzymiej większości? Ona nie rozwija, nie umacnia swego ludowładztwa?

Interwencje z góry powinny należeć do wyjątków. Bo choć władza ludowa jest ponad gromadą, ale jak w stosunku do sołtysa, tkwi również w samej gromadzie.

Gromado bądź władzą ludową, walcząc — rządź u siebie!

Z. L.

Technika owszem, a polityka?

Będzie tu mowa o mostach oraz inżynierach i technikach drogowych. Ale i mosty i technicy to tylko przykład, z którego czytelnik wyciągnie snadnie ogólniejszy wniosek.

Otóż jest na Baryczy, która dopływa do Odry, most, wymagający remontu. Za mostem 20 ha doskonałych pastwisk. We wsi 14 rodzin chłopskich. Otóż jest spółdzielnia produkcyjna w Golnicach, pola spółdzielni rozrywa rwąca rzeczka Bober. Aby dojechać do pól trzeba nakładać 9 km. Most na Bobrze stanowi podstawowy warunek egzystencji i rozwoju spółdzielni. Otóż jest na Wolnie most, który wymaga remontu. GRN przystępuje do budowy mostu, ale w innym miejscu, gdzie brak urządzeń spiętrzających, nieodzownie potrzebnych dla gorzelni GS-u.

Na cóż te przykłady wskazują? Na to, że są Wydziały Drogowe przy PRN-ach, są inżynierowie i technicy, ale albo nie budują tam, gdzie trzeba, albo budują, gdzie nie trzeba. Czego ci technicy nie rozumieją? Gospodarczej funkcji mostu. Nie rozumieją, że mostem również buduje się socjalizm, że z mostu trzeba zawsze czynić odcinek drogi do socjalizmu. Wieś może rozwinąć hodowlę i to zbiorową, rozszerzyć areał pasz, inna może rozwinąć przedsiębiorstwo rolne (gorzelnię), inna zorganizowała się już w spółdzielnię produkcyjną, ma ugruntowywać nowe i świecić przykładem okolicy, a panowie technicy powiadają, że co? Że polityka ich nie obchodzi? Wszędzie i zawsze nowe kadry techniczne muszą pamiętać, że z polityki czerpać winny natchnienie. Że zawsze politycznie rozstrzygają. Rzecz w tym, aby nie przeciw polityce socjalistycznego narodu.

H. M.

Niedomówienia

Największy miewam kłopot, kiedy sąsiedzi pytają mnie o rzeczy zaznaczone w artykułach, a niedomówione. Oto np. korespondencja p.t. „U nas już jest spółdzielnia". „I może bowiem odmówiliby od założenia spółdzielni produkcyjnej — gdyby nie to, że w sąsiedniej wsi Chrobostówce powstała spółdzielnia produkcyjna". Sąsiedzi zapalają się ciekawością do Chrobostówki. Ona pomogła chłopom w Waśkach założyć spółdzielnię, ale jak ona sama powstała? Kto jej pomógł?

Albo w takich Łagiewnikach. Radiowęzeł (po „naprawie") nie mógł obsłużyć 30 głośników w gromadzie. Odebrano tedy głośniki z mieszkań chłopskich, a zostawiono tylko pracownikom PGR-u. „Co na to GRN i Społeczny Komitet Radiofonizacji Kraju"? — pyta redakcja. A moi sąsiedzi pytają — a co na to chłopi?

Albo taka historia: 16 pracowników GRN i GS z gminy Zatory pracowało w pomocy sąsiedzkiej przy sprzęcie zboża u wdowy Czosnowskiej, obarczonej 6-ciorgiem małych dzieci. Sąsiedzi pytają: wieleż u tej wdowy ziemi? Wygląda na małorolną. Ale choćby była średniaczką, to co miało do roboty aż 16 urzędników na 3 hektarach? I jeszcze ich opisują chwalebnie w gazecie.

I. S.